

TYGODNIK ILLUSTROWANY



O POMYŚLNE ZBIORY

WŁ. JASIŃSKI

A. GRZYMAŁA-SIEDLECKI.

Słowo dnia jutrzejszego

W jednej z najlepszych zresztą krótkich francuskich, jakie można słyszeć w Paryżu, jakaś groteskowa figura przy opowiadaniu o swym życiu mówi:

— Zaczęłam marzyć o tem, by stać się literatem. Zrazu myślałam o pisaniu romansów, ale rychło przekonałam się, iż to rodzaj zupełnie już przestarzały.

I Paryż wybucha w tem miejscu śmiechem. Publiczności wydaje się głupkowatym to twierdzenie, bierze je za żart. Publiczność nie przypuszcza, że farsa Caillavet'a i Flers'a wypowiada w tem miejscu spostrzeżenie zupełnie prawdziwe.

Flaubert w ojczyźnie Caillavet'a i Flers'a był może ostatnim świetnym atutem tego rodzaju literackiego, który się nazywał romans. Autor „Pani Bovary” był też może ostatnim żywotnym oddechem tej twórczej atmosfery, która wydawała zadziwiające arcydzieła, która zapładniała fantazję pierwszorzędnych talentów, i która potrafiła z banalnego tematu miłości snuć nieśmiertelne historie ludzkie, dziś przemienione już niejednokrotnie w krew naszego codziennego myślenia.

W Zoli, a poniekąd i w Bourget'cie, w Tołstoju z *Kreutzera Sonaty*, w Dygasińskim u nas, w całym tem piśmiennictwie z połowy wtórej zeszłego stulecia, powieść jest już przeważnie wyrazem idei, zaczerpniętej z dziedzin badania raczej naukowego, niż artystycznego. Powieść ówczesnego okresu jest wszystkim: ewangelią, trybuną, salą prosekcyjną, pracownią psychologii eksperymentalnej, przykładem panujących prawd społecznych, przestaje jednak być romansem, owym bezinteresownym splotem wydarzeń, których sens, głębia i wartość wyrastają z nich samych i na nich się kończą.

Nazbyt jednak blizkie i bezpośrednie jest jeszcze wówczas wspomnienie choćby Balzaca, by powieść tych czasów mogła się zupełnie wyzwolić z *obowiązków* romansu. Koryfeusze powieściopisarstwa nie tracą jeszcze temperamentu powieściopisarzy. Życie ich bohaterów książkowych jest już parafrazą zamiłowań i badań naukowych autora, ale jest jeszcze życiem. Czytelnik staroświecki odczytać je ostatecznie może, jako powieść *pur sang*, jak się czytało nawet Dumasa ojca.

Powieść dnia dzisiejszego zrywa już ze wszelką konwencją romansu. Powieść dzisiejsza coraz wyraźniej idzie ku temu, że stanie się tylko pozorem dawnych form powieściowych. Już się to coraz częściej dzieje, że autor wybiera formę powieści, jako środek popularyzatorski, aby przezeń wypowiedzieć swoje spostrzeżenia myślicielskie, lub swój pamiętnik liryczny. Niczem innym są tak zw. powieści Anatola France'a, niczem innym romanse historyczne Mereżkowskiego. Takim samym pozorem są powieści Barres'a, najnowsza powieść niemiecka, t. zw. neoromantyzm. Takim samym był Gustaw af

Geijerstam, niedawno zmarły głęboki liryk skandynawski.

Z myślami temi czynią to samo, co czynił Plato ze swą agitacją filozoficzną: uprzystępnił ją pozorem dyalogów.

Rzecz jasna, że obok tych postaci nowocześniejszych romansu krzewią się jeszcze wszelkie dawniejsze formy; uważne wpatrzenie się jednak w życie powieści współczesnej nie może nas pomylić w ocenie, co jest wspomnieniem i inercją, a co *słowem dnia dzisiejszego*.

Mr. Blond, owa figura z krótkowili Caillavet'a i Flers'a, wypowiada spostrzeżenie mimowoli słuszne.

* * *

Czy tylko romans, czy tylko powieść jest dziś rodzajem przestarzałym? Czy i inne rasy literatury nie wykazują tendencji wymierania?

Kto ma sposobność od wielu lat śledzić historię teatru, ten wie, że takim „czerwonoskórym literatury” była w ostatnich dwóch dziesiątkach lat *komedya*. U nas ma Bliźnińskim, we Francji na Sardou z jego lepszych czasów, w Rosji na Ostrowskim — urwała się linia genealogiczna komedii czystego typu, tego połączenia prawdy z humorem, realizmu psychicznego z satyrą, lub ironią. Pojawiają się poszczególni komedyopisarze, ginie komedyopisarstwo. Terenem komedii podzieliły się dość zgodnie: dramat z krótkowilą. Na tem jednak nie koniec.

Gdzie, w którym kraju, której literaturze europejskiej pojawił się w ostatnich pięciu latach dramat, tragedia, któreby wywołały takie choć wrażenie, jak przed dziesięcioma laty wywarł *Dzwon zatopiony*? Czyby go słuchano z takim zapartym oddechem, jak słuchano każdego nowego dramatu Ibsena?

Dyrektorowie teatrów mogą potwierdzić prawdę tych słów, że po Hauptmanie i Maeterlincku repertuar teatrów europejskich nie zaznał ani jednego nowego talentu w większym, a choćby oryginalniejszym stylu.

Teatr ostatnich lat stoi pod znakiem nudy, pod znakiem jałowości.

Co więcej: upada nawet farsa. Nie mówię tu już o farsie takiej, jak *Komedya pomyłek*, jak *Georges Dandin*, jak *Wesele Figara*, jak Goldoni lub nawet Labiche, słowem, ten typ teatralny, którego wdziękiem było nieprawdopodobieństwo ludzi i wydarzeń. Nie. Upada nawet ten typ najbardziej dzisiejszy, typ, którego wdziękiem był nonsens i ordynarność. Upada, jeżeli zachował choć trochę troski o podobieństwo do sztuki. Sukces jednego lub drugiego wyjątku w tej mierze nie powinien nas łudzić.

Coraz częściej podnoszą się głosy, że teatr, jako taki, jest już formą przeszłości. Coraz częściej słyszy się zdanie, że jest to instytucja za mało artystyczna na sztukę, nazbyt poważna na rozrywkę. Ueberbrettli, kabaret, piosenka, teatr marynetek — oto nieśmiałe widma upodobań naszych wnuków, a kto wie, czy już nie naszych dzieci.

* * *

Poezya. Czyż się mamy ludzić, że koniec wieku XIX-go nadążył za początkiem tegoż stulecia? Gdzieżecie wy, wielkie, wzniosłe uderzenia w struny, gdzie wy, liry, oparte o ziemię, a wierzchołkiem ginące w kosmosie i w niebie! Wielkiej poezji dziś nie ma. Są poeci czarowni, jest nieporównane złotnictwo słowa i uczucia, niema już jednak tego tytanicznego tchu, w którym się jeszcze za dni Romantyzmu odbijały wstrząśnienia ludzkości, które poprzedzały życie bohaterstw. Przez lirykę naszych czasów idzie wiew piękna, przez poezję dziadów naszych szedł huragan wielkości.

Jeden z marzycieli pozytywizmu, Hippolit Taine umiał wynaleźć doskonałą pociechę na ten stan rzeczy. Wymyślił formułę, iż środowisko i atmosfera historyczna rodzą geniuszów. Dziś niema w historii wielkich czynów, niema więc i odbicia w zwierciadle życia: w literaturze. Formułę Taine'a sprawdza rzeczywistość we wszystkich przykładach, oprócz przykładu geniusza. Geniusz bowiem jest tym typem daru, który łamie zewnętrzny przepis formy, treści, wpływów i t. d. Niema sposobu uwierzyć, by tajemnica genialności zależna była od intensywności, wojen rewolucyjnej, temperatury dziejowej. Geniusz przepowiada raczej to wszystko, poprzedza. On jest *słowem dnia jutrzejszego*.

W poezji, w literaturze, w ideach humanistycznych nie mamy dzisiaj *słowa dnia jutrzejszego*. Najbardziej przeczący temu przekonaniu Nietzsche jest, niestety, zarysem tylko tego domniemanego słowa i bolesną tragedią, rozpaczą i załamaniem rąk nad brakiem nowej wiary w duszy ludzkiej.

* * *

A teraz przypuśćmy, że i w naszych czasach zjawia się człowiek, równy genialnością wszystkim tym imionom, które nazywamy wieszczami nie z nawyku mówienia, lecz z powodu istotnej proroczości ich umysłu, przypuśćmy, że intelekt humanistyczny dzisiejszy otrzymuje w darze taką jednostkę. Czy ona zdoła wstrząsnąć sercami tak, jak poeci wstrząsali uczuciami narodów za dni Romantyzmu? Czy słowo jego zdoła wgryźć się w życie zbiorowe i życie to niejako przemienić? Czy spełni słowem najwyższe swoje przeznaczenie? Czy jej się to uda w dniu dzisiejszym?

Najprawdopodobniej: nie.

Po wielkiem braterstwie społeczeństw z poezją, po tem braterstwie, którego datę można postawić w pierwszej ćwierci wieku XIX-go, po tem zlanu się w jedno ideałów życia i ideałów poezji, nastąpiła w połowie ubiegłego wieku cicha nienawiść niedawnych braci, nastąpiła żądza bratobójstwa, i to wzajemnego. Społeczeństwa wyrzekły się wskazań poetyckich. Poezya pogardziła akordem społecznym.

Społeczeństwa wyrzekły się poezji, bo ta nie odpowiadała filozofii praktyczności, zrodzonej w wieku „braterstwa”. Poezya okazała się nieoceniającą siłą sztandarową w walkach ze starymi porządkami świata, ale przeskadzała w dniu powszednim, t. j. wów-

czas, gdy nowy porządek za wszelką cenę zapragnął stać się podobnym do starego porządku.

Poezya ze swej strony czyniła wszystko, by ze zmuśnionych zagonów życia uciec w alabastrowe kaplice piękna, kaplice, od wielu lat już dziś omijane przez życie, tolerowane, jak tolerowana dziś jest wszelka religia, obojętne, coraz bardziej hieratyczne, coraz bardziej kastowe.

Władztwo dusz, złożone jeszcze przed wiekiem u stóp poezyi, oddane rządowi idei humanistycznych — dziś już odpadło na rzecz innych sił, sił, nie przeczuwanych może przez Alfieriego, Shelley'a, przez Wiktora Hugo, przez Kleista, Körnera, nie przeczute nawet przez Fryderyka Hebbła.

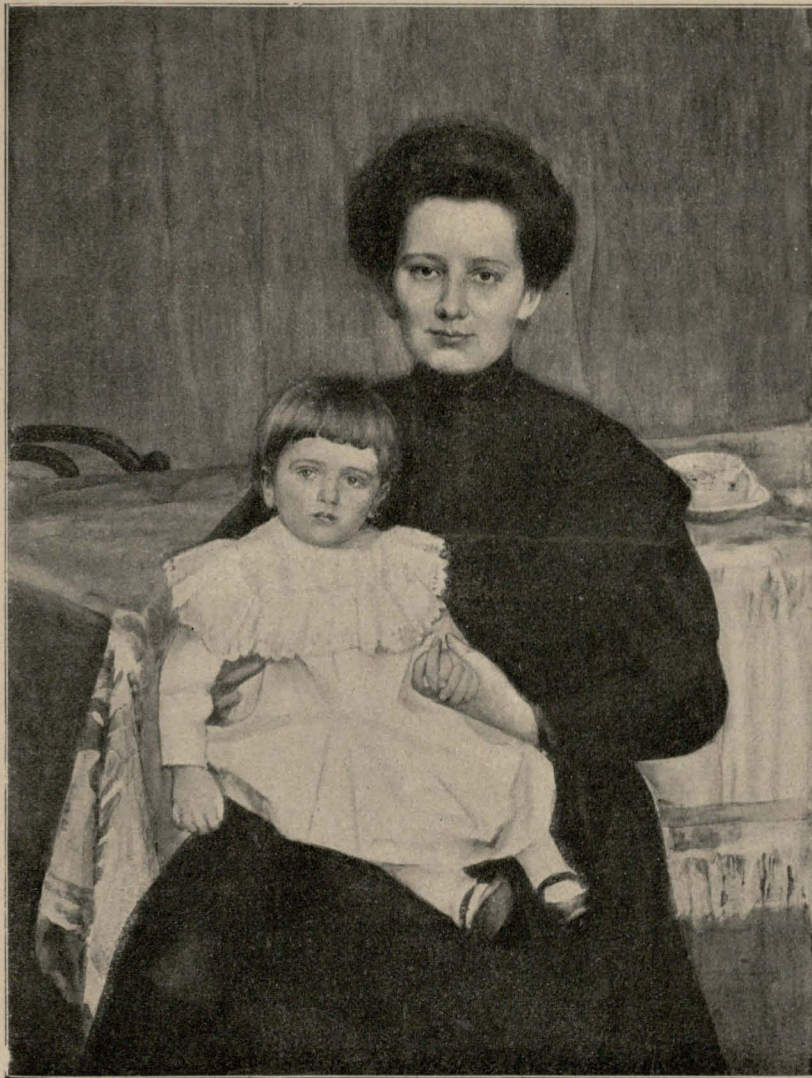
Siłami temi, nowymi imperatorami dusz ludzkich stały się: technika i przyrodoznawstwo. Silniej, niż wszelkie cudowne słowo, zaspokajają one w człowieku XIX i XX-go stulecia odwieczny głód cudu. One sprawiły, że po najprostszym drucie miedzianym przechodzi dźwięk mojego głosu o kilkadziesiąt, o kilkaset mil i głos ten rozróżnić można z pośród dziesięciu innych brzmień. Nauki te zdziałały, że niewzruszone pojęcia przestrzeni i czasu stały się pojęciami względnymi i względność swoją wskazują *ad oculos* najprostszemu człowiekowi. Chemia, fizyka, elektrotechnika co chwila dostarczają zbiorowemu człowiekowi całego świata najwykwintniejszej karmii ducha: *podziwu*. Jeden wynalazek za drugim zmieniają co chwila warunki lokomocji, wytwórczości, udogodnień życia, wydzierają przyrodzie, owemu X naszego istnienia, coraz to większe tajemnice. Żaden dramat Szekspira, żaden teatr świata, żadne ajshylesowe słowo, ani dantejska wyobraźnia nie może dać takiego widowiska, jaką dziś daje naszym oczom nauka, walcząca z wiecznie milczącą przyrodą.

One są dziś tem, czem była wielka poezya i wielkie myślicielstwo u progu XX-go wieku: one *zmieniają życie*. Elektrotechnika, chemia, biologia, aeronautyka — oto poemat, oto legenda i teatr dnia jutrzejszego.

One są słowem dnia jutrzejszego.

Najgenialniejsze wysiłki idei humanistycznych nie nadążą za blaskiem i za pędem tego świata nowego, tej sprowadzonej na ziemię realną krainy z za siedmiu gór, jaką jest zaprawdę kraina wynalazków technicznych.

Zdobycze i wynalazki nauk ścisłych zabijają popyt duchowy na poezyę, na filozofię, nie tylko jednak z powodu swojego olśniewającego efektu zewnętrznego. Zdobycze i wynalazki wyrzucają humanizm poza nawias wszelkich zainteresowań umysłowych i z tego też powodu, że one są widomym znakiem i streszczeniem tego sposobu myślenia, tej filozofii, która przyszła po dniach Romanizmu.



PORTRET

A. AUGUSTYNOWICZ

Pozytywizm, zasada materializmu dziejowego, Marks, cały pochod demokratycznej filozofii w Europie walczył i walczy wszelkimi siłami o to, by dawny porządek świata, oparty o moralną umowę jednostek i gromad ludzkich, przemienić w *porządek mechaniczny*. Mechanizacja wszelkich objawów ludzkiego życia stała się świadomem lub bezwiednym hasłem drugiej połowy minionego stulecia. Hasło to zwyciężało w ideach, zwyciężało i w praktyce. Zwyciężało, bo było i jest linią najmniejszego wysiłku moralnego.

Geniusz świadomych, mechanicznych obliczeń w wynalazkach schodzi się więc dzisiaj harmonijnie z bezwiedną religią mechaniczności pokolenia współczesnego.

Poezya, filozofia, sztuka były, są i będą pokarmem arystokratycznego instynktu, który drzemie w duszy każdego człowieka. Zewnętrzny, utylitarny wyraz wynalazków technicznych pada na grunt demokratycznych odczuwań tłumu. Tłum przeczuwa nieświadomie, że to pieśń jego walki, że to sztandar najszlachetniejszy, najbardziej górny tych wierzeń materialistycznych, którym kościoły z dusz buduje zwycięska myśl stulecia.

Ceci tuera cela! — można dziś znowu powtórzyć melancholijnie, wskazując kolejno na areoplan braci Wright i na księgi nawet, nawet... Voltaire'a.

* * *

A więc?

Skoro się musi wypowiedzieć: to „więc”, to „zakończenie moralne”, od którego umysł nasz nie może się uwolnić, nawet w epoce

nauk przyrodniczych, skoro myśl nasza odruchowo rzuca to pytanie i żądanie, należy tylko stwierdzić, że, jak dawniej tylko geniuszom, tak dziś każdemu bez wyjątku, pracującemu w zakresie humanistycznym, pozostaje ta gorzko zaszczytna świadomość, iż pracuje nie dla współczesnych, lecz dla pokoleń przyszłych.

Praca ta dotyczy zarówno twórców, jak tych nielicznych, którzy entuzjazmują się potęgą idei naukowych. Tych, którzy się zapalają od świateł wielkich jedyń.

Wracają nanowo czasy, które twórcę i szczupłe grono jego szczerych wyznawców łączą w platońską jedność istnienia, w szczupłą wysepkę, osiadłą na morzu obojętności.

Ale ponieważ wszelka demokracja walczy na to tylko o swe prawa demokratyczne, aby stać się kiedyś arystokracją, przeto, gdy po latach, może po stuleciach, dzisiejsze idee mechanizacji przemieniają się znowu w jakiś nieprzewidziany dziś humanizm, — wówczas to wszystko, co stworzyć zdołał w naszym okresie zamętu i względności wielki umysł artysty, to wszystko stanie się kiedyś jeszcze *Iliadą*.

Aby ten epos zbiorowy naszych lat mógł jednak naprawdę być wyrazem duszy XX-go stulecia, winien on, winniśmy wszyscy z bieżącego ideału tego stulecia, z wiedzy ścisłej wziąć w siebie to, co jest najpiękniejszą stroną tej wiedzy, rodzącej cuda.

Winniśmy wziąć *żądze prawdy*, winniśmy czuć i tworzyć tak, żeby każda sekunda była prawdą wobec własnej duszy. Prawdą aż do zaparcia się siebie. Takiem bowiem tworzeniem jest i ono słowo dnia jutrzejszego: owo wydzieranie tajemnic i cudów naturze przez geniusz nauk przyrodzonych.

KAZ. PRZERWA-TETMAJER:

Stały w króla Ramzesa...

Z VI SERJI POEZYI.

Stały w króla Ramzesa ogrodzie, wśród lwów
kamiennych i lwic,
dwa w różanej alei posągi: bogini i bóg—
bogini cudna, jak brzoza biała i senna z nad wód,
która oczy wzniesione miała w głęboką gdzieś dal,
i bóg, który miał w ręku berło, o wite we bluszcz.
I przychodziły dziewczęta, gdy słońca prażył je żar
i kiedy żądzą rozpałał tajnię wspaniałych ich biodr,
i brały boga w ramiona, cisnąc mu usta do ust
i krwi szukając w nim żywej, jak ich bijącej
w nim krew...

Lecz gdy cicha noc zesza, naówczas — naówczas
ten bóg
w króla Ramzesa ogrodzie, wśród wonią
śmiertelnych aż róż,
cień swój z berłem bluszczowem rzucał bogini
do stóp,
która oczy wzniesione miała w głęboką gdzieś dal
i czekał — czekał na grom, co nie przychodził weń biec

PLANY BITW KOŚCIUSZKOWSKICH, ¹⁾

WYKONANE PRZEZ M. STACHOWICZA.

Kiedy upadła insurekcja kościuszkowska, pan Filip Nereusz Lichocki, prezydent m. Krakowa, postanowił ją opisać „nie historice, ani eleganter, ale jak najrzetelniej, najprawdziwiej i bardziej żałośnie”, bo w czasie jej „na zdrowiu i na majątku wiele ucierpiał”. Trochę ucierpiał i na honorze, bo brzydko mówiono o jego uczuciach patriotycznych, bo młodzież czyniła mu „afronty”, a pan generał Wodzicki pamiętnego dnia 24 marca 1794 r. w obecności Kościuszki nazwał go „niegodziaszem, arystokratą” (?), spełniającym pokornie rozkazy nieprzyjaciela. A choć 30 marca komisarze, przeglądający papiery p. prezydenta, wystawili mu „świadcstwo nieposzlakowanej dotąd wierności narodowi”, to przecież 21 kwietnia Komisja Porządkowa Województwa Krakowskiego kazała mu „z przyczyn wiadomych” ustąpić z magistratu, co mu jednak nie miało przeszkadzać do żadnego urzędu „w czasie wolnych i prawnych elekcji”.

Pan Filip stylistą nie był, z ortografią pozostawał często w nieporozumieniu (zdarza się to zresztą poetom i filozofom!), mimo to urywek pamiętnika jego, zatytułowany w oryginale: „Epoka powstania Narodu Polskiego w r. 1794”, posiada niezaprzeczoną wartość. Są w nim cenne kronikarskie szczegóły z pierwszych dni insurekcji, są drobne obrazki, epizody, dialogi, dobrze charakteryzujące czasy opisywane. Pan Filip posiadał umysł obserwacyjny, zdobywał się na trafne, choć rubaszne porównania, nie był pozbawiony dowcipu i złośliwości (co dziś nazywamy: „cięciem piórem”) — przytem jest wysoce zabawny i naiwny, ilekroć skarży się na brak poszanowania dla jego dostojności, lub występuje „z pretensjami” do insurekcji, która śmiała zakłócić spokój „najpierwszej w mieście osoby”. Ta naiwność była powodem, że podejrzywano autentyczność pamiętnika; przypuszczano, iż jakiś literat z „profesji”, świadom dobrze stosunków krakowskich za czasów Kościuszki, chciał się zabawić kosztem pana prezydenta. Nagłe urwanie ledwie zaczętego pamiętnika, i to w samym środku zdania, uważano za jeszcze jeden więcej dowód mistyfikacji. Mniej podejrzliwi przypuszczali, iż wydawca pamiętnika (był nim zapewne Lucyan Siemieński) pozwolił sobie na przeróbki i dodatki, w czym ich utwierdzała

*Filip Wodzicki senior
izby zwolal natychmiast Urzędników
Miejskich i lud wszystek aby się zgroma-
dził zaraz przed Ratusz najdalej za Godzi-
nę, bo tam mu będzie oświadczona Wola
Narodu, y będzie mu prezentowany Filip
General Tadeusz Kościuszko Naczelnik Narodu.
Ktorego tu masz przyłpionę/
prawdziwe wyobrazenie*

*Wyobrazenie Tadeusza Kościuszki Powstania
Narodowego Naczelnika*



prawdziwe.

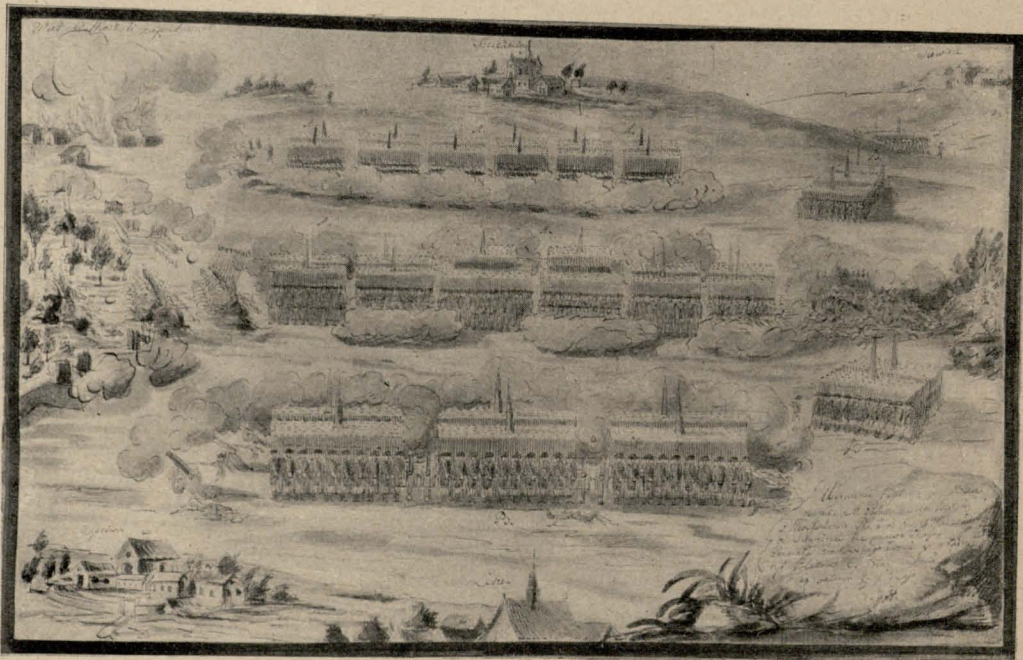
*W tym momencie iaro Karolem Archlowi
Prezydentkiemu i osynkiemu Radnych, a Stajdu
kom Smirnych, Hutnanowi i osynkiemu (C-
chowych obchodzić, iżby się podług Woli Filipa
Generala przed Ratusz nanaznaczoną godzi-
nę stawiali, a przystanego Filipa Adjutanta
Filip Bieganskiego Wodką częstowałem, chcący
zniego zdala wymiarkować, co by się to znalazło,
yna co się to zanosilo, ale nie porozumieć nie mo-
głem, tylko niezmierną radość y ukontentowa-
nie, że Pan Kościuszko będzie z nami. Sam też
spiesznie przy tym ze Filip Bieganskiem Adjutan-
tem...*

Tadeusz Kościuszko, według rysunku M. Stachowicza.

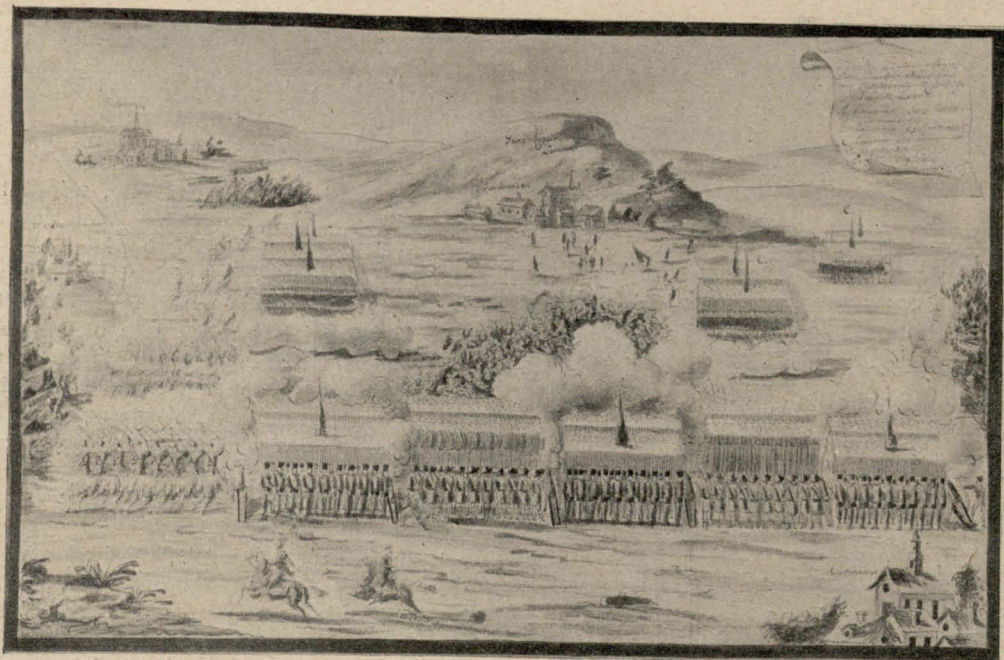
dziwna tajemniczość, jaką rękopis otoczył. Nie podałem wzmianki, gdzie się oryginał znajduje, ani czyją jest własnością. *)

Przyczyny tej tajemnicy odgadnąć dziś trudno. Przypuszczać zaledwie można, iż wydawca miał zamiar jeszcze osobno zużytkować zbiór materiałów, dołączonych do pamiętnika, i dlatego zazdrośnie ukrywał jego „miejsce pobytu”. Z taką zazdrością przychodzi bardzo często spotykać się badaczom dziejów. Potwierdza to przypuszczenie fakt, że wydawca, w przypiskach do pamiętnika, korzystał już od razu z tych materiałów, ani słowem nie wspominając, skąd czerpie owe wiadomości. W taki sposób podał wiersz łaciński *Ad Polonos*, którego autorem był Nadezky, ksiądz węgierski, *nobilissimae Polonae gentis cultor et amicus perpetuus*. Również z tych materiałów odpisał znany dziś powszechnie wiersz: „Dalej, chłopcy, dalej żywo”, oraz akt kapitulacji Krakowa w przekładzie polskim (oryginał niemiecki znajduje się w archiwum miejskim krakowskim).

Jakby jeszcze dla podrażnienia ciekawych wydawca wspominał o dołączonych do rękopisu sześciu planach bitw kościuszkowskich, wykonanych przez Stachowicza, ale wyraził się o nich dość lekceważąco, co tem więcej jest dziwne, że w tymże samym tomie „Pamiętników” Żupańskiego (zawierającym i „Historję rewolucji” Zajączka) znajdujemy tablicę z portretem Kościuszki i dwoma fragmentami



Plan bitwy pod Szczekocinami.



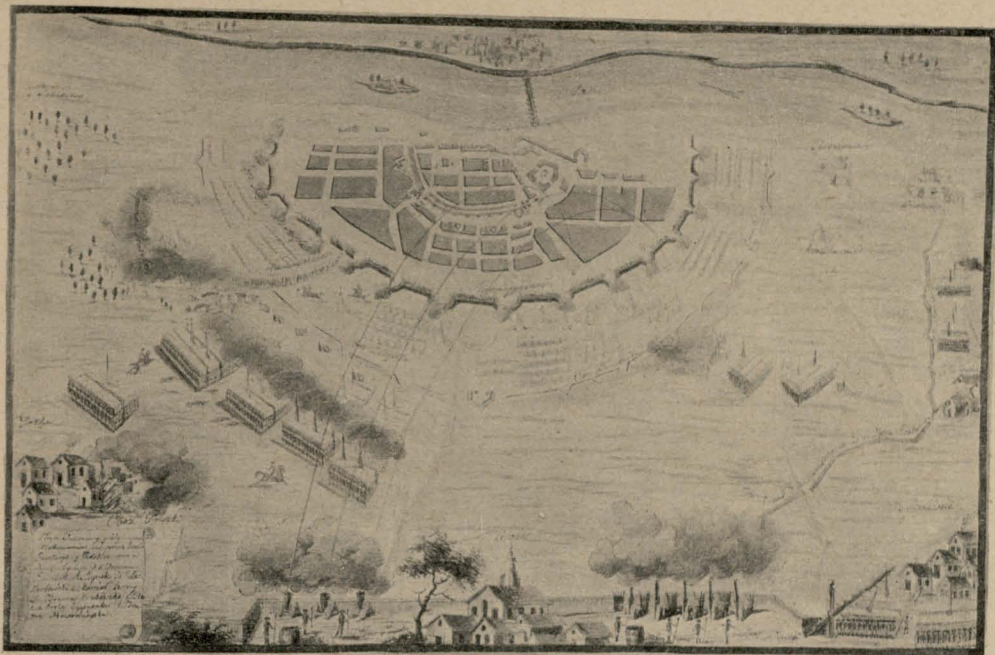
Plan bitwy pod Raclawicami.

z planów Raclawic i Szczekocin, z których pierwszy jest całkiem fałszywy, a drugi ściśle oparty na planie Stachowicza.

Jakiegokolwiek wreszcie byłyby plany Stachowicza, zwróciliby na nie uwagę badacze historii i sztuki, ze względu już na samo imię głośnego artysty, a przytem głównego malarza epoki kościuszkowskiej. Plany musiały mieć pewną wartość już przez to, że były współczesne, a więc, rzecz prosta, oparte na relacjach naocznych świadków. Ale nie zwróciły uwagi, bo nikt nie wiedział, gdzie się znajdują.

I nie wiadomo, jak długo pozostałyby nieznane, gdyby nie czysty przypadek. Przypadkiem nazywam już naprzód to, że zwrócono

*) Pamiętnik Filipa Lichockiego, prezydenta miasta Krakowa r. 1794, po raz pierwszy wydany, dokumentami i opowiadaniem mało znanych szczegółów do tej epoki... (co? zapewne: objaśniony). Poznań 1862, u Żupańskiego.



Plan bitwy pod Warszawą.

się do mnie o napisanie obszernych dziejów insurekcji; przypadkiem dalszym, że w poszukiwaniach za materiałami wstąpiłem na kilka godzin do Dzikowa hr. Tarnowskich.

Udałem się tam, nie wiedząc, co właściwie znajdę. Kierowałem się jedynie wskazówką d-ra Adama Chmiela, kustosa archiwum miejskiego w Krakowie. W broszurce jego p. t. „Rękopisy biblioteki hr. Tarnowskich w Dzikowie” (Kraków 1908) naznaczono pod P. 4. nr. 18 rękopis: „Różne druki y uniwersały. Epoka powstania narodu polskiego w r. 1794 (dokumenty, druki, plany bitew akwarelowe i t. d.). Rękopis fol. z końca XVIII w., oprawny w tekturę”.

Nie spodziewałem się, że ów rękopis to oryginał pamiętników Lichockiego, a te plany to plany Stachowicza.

Połączone we wspólnej oprawie pamiętniki z planami stanowiły nierozdzielną całość. Pan Filip Nereusz uprzedzał współczesnych w zrozumieniu, czym jest ilustracja. Postanowiwszy opisać całą epokę, chciał, aby słowom jego dodawał wyrazistości rysunek. Stachowicz był zapewne jego dobrym znajomym, może nawet przyjacielem; do niego więc się udał o pomoc. Już na odwrotnej stronie pierwszej karty rękopisu w środku napisu: „Ja, Filip Nereusz Lichocki, prezydent miasta Krakowa, urodzony 20 maja 1749”, spotykamy świetnie przez Stachowicza wykonany akwarelą portret p. prezydenta. Na drugiej karcie mamy tuszem wykonane „wyobrażenie Tadeusza Kościuszki powstania narodowego Naczelnika prawdziwe”. Następnie p. Lichocki przy opisie przysięgi Kościuszki zaznacza w tekście: „jak tu masz niżej odmalowano”. I rzeczywiście znajdujemy wszyty do rękopisu szkic akwarelowy Stachowicza z podpisem: „Powstanie Narodu Polskiego y Przysięga Naczelnika Tadeusza Kościuszki w Krakowie 24 marca 1794 r.”. Na tym szkicu, z którego później namalował artysta powszechnie znany obraz olejny, bardzo mało różniący się od pierwotnego (główna zmiana w bocznych figurach), mamy podpis: „Michał Stachowicz malował 1795 r. 16 grudnia w Krakowie”. Później p. Lichocki na karcie 9 wspomina o Raclawicach i dodaje: „jak tu masz odmalowano na karcie pierwszej”. To już niezbity dowód, że plany na jego żądanie wykonywał Stachowicz.

Pan Lichocki, jako prawnik, rozumiał i wagę dokumentów, więc kilka ich, odnoszących się do jego osoby (między nimi owo „świadczenie nieposzlakowanej wierności” i kartkę

z podpisem Kościuszki o wydanie paszportu Andrzejowi Markiewiczowi) wszył do środka pamiętnika, a prócz tego zebrał sporo druków współczesnych, między którymi jest kilka bardzo rzadkich i ważnych. Do nich należą i wspomniane wyżej materiały, z których korzystał w przypiskach późniejszy wydawca pamiętnika, starannie kryjąc ich pochodzenie.

(DN) KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.

JADWIGA MARCINOWSKA:

VOX CLAMANTIS. 2)

Mozolnie jest iść pustynią od strony Jericha do Jordanu. Oczywiście w spiekotę dnia.

Żar leje się z przedziwnego nieba, które pomimo najokrutniejszej pogody nie pogłębiło się barwą szafiru, błądawe jest, a srogie.

Żar obwinął głowy podróżnych, wgrzyza się im do oczu. Spracowane piersi daremnie wzdychają do wietrzyka.

Ziemia rozpalona skarży się dzikim smutkiem. Nigdzie zieleni, nigdzie pociechy drzew. Miejscami sterczą niewielkie krzaki wyschnięte, a kłujące cierniem złośliwym. Wyłania się w złotem słońcu posępność udreżenia.

Naraz... Co to? halucynacja zmęczonych myśli czy ócz? Jakoweś widma zjawiają się na powietrzu.

Początkowo jakby leciuchny szkic: związało się to z drgającymi promieni. Szybko w następnej chwili zarys tężeje, napływa kolor, świadectwo życia.

W pełnego, białego dnia olśnieniu narodzone są głowy, barki, postacie całe. Skończone kształty osuwają się chyżo na ziemię; poszły przed siebie niezmiernie zwinnym ruchem.

Czaszki i czoła ich owinięte w fałdliwość jasnych chust, draperye płaszczów opadają im, osłaniając stopy; wsparli ręce na laskach, zakrzywionych u góry, bardzo wysokich, dogodnych w wędrowaniu. Pot oblewa im ciemne twarze, tem niemniej idą śpiesznie, z lekkim karków podaniem, ze spojrzemieniami, które przed się i na strony rzucają chytre, a niespokojne i biegające oczy.

Pustynia wyjawia obraz niezapomnianej przeszłości... Bo wszakże poznajemy tych ludzi? Toć przecie są wysłańcy kapłanów jerozolimskich, ażeby, „szedłszy”, wywiedzieli się prawdy o niedawnym, lecz głośnym w okolicach Jordanu proroku i nauczycielu, o Janie..

Chrzciciel pojawia się w pustyni, jak wstępująca z zamierzchłego tła dziejów postać, odrazu skończona i olbrzymia. Pismo wyraziło się o tem nie tylko zwięźle, ale z owem mocnym wskazaniem już spełnionego faktu. „Był Jan na puszczy, chrzcząc i przepowiadając chrzest pokuty” (Ewangelia św. Marka). Albo: „A w one dni przyszedł Jan Chrzciciel, każąc na puszczy żydowskiej ziemi” (Ewangelia św. Mateusza).

Zaledwie jeden z pomiędzy ewangelistów, Łukasz, naszkicował wielkimi, choć ogólnymi rysami genezę tego „przyjścia”, ukazał początek Janów, a także, chociaż z bardzo daleka, dziecinny wiek i młodzieńczy. Następnie podał wiadomość, określającą czas—powołania.

„Piętnastego roku panowania Tyberysusa cesarza, gdy Poncyusz Piłat rządził żydowską ziemią, a Herod był tetrarchą galicyjskim” i t. d.

„Za najwyższych kapłanów Annasza i Kajfasza stało się słowo Pańskie do Jana Zacharyaszowego, syna na puszczy.

„I przyszedł do wszystkiej krainy Jordanu”.



RZEKA JORDAN.



WSZĘDZIE ONA

L. STROJNOWSKI

Przypomnijmy sobie kwiecistą a rzeźwą ustron w pośrodku gór za Ain-Karim. I przepędzoną w niej orlą młodość człowieka, który gotował się do chwili.

Aż nastąpiła chwila.

Musiało to być ogromne... Właśnie jak niecofniony rzut, który z kwitnącej górskiej łąki przenosi w otwartą a spieczoną i chciwą pić pustynię.

Albo-li jeszcze większe. Streszczone w jednym piorunującym poczuciu, kiedy zbiegły się wszystkie tęsknoty, a twórczem upragnieniem zadrżało życie aż do głębiny trzew; w jednym wyrazie: *już*.

Oczywiście, nie można o tem dość godnie mówić... Chyba powtarzając niezastąpione orzeczenie ewangelisty: „Stało się słowo Pańskie do Jana...”

I wtedy natychmiastowy, potężny gest: podniósł się prorok i szedł do Jordanu.

Wysłańcy dostojników napotkali Chrzciciela w pobliżu świętej rzeki. Obecność jego odgadli łatwo po zbiegowisku postaci, krążących wśród gęstwiny, jakoby wokół głównego dla wszystkich punktu. Słuchacze to byli i uczniowie, lud, wychodzący z Jeruzalem i od całej żydowskiej ziemi.

Krótkie cienie padły na płową drogę: poboczne zarośla niewysokie były, aczkolwiek zwarte, służące za schronisko pospolitym tu dzikom, a zaś niekiedy i lwom.

Niebawem wędrowcy zapuścili się całkiem w głąb. Droga szła teraz rozsypiskiem żółtawem wpośród młodego lasu. Znużone czoła ogarnął miły wiew.

Ptactwo najrozmaitsze w poplątaniu gałęzi śpiewało nieskończenie radosnym gwarem.

Roje drobniutkich muszek napełniały powietrze, wilgotnawe od poblizkiego oddechu wód.

Jan w kole mnogich słuchaczy siedział na wielkim kamieniu. Właśnie w tem miejscu otwierała się półokrągła polanka, padało pełne światło. Był w słońcu; nie odwracał się, ni osłaniał. Silne, aczkolwiek wychudłe ciało świeciło się połyskami twardego brązu. Głowa... Wysłańcy dostojników zatrzymali się chwilę zmieszani. Ujrzeni potężną zjawę. Twarz to była, jak natężenie wyłącznej myśli i bólu. Pod ściągniętymi brwiami palił się ogień głęboko zapadłych oczu, a przedziwna gorącość raz po raz oblewała ostro wykute rysy. Wydawało się to tryskaniem podskórnego płomienia.

Usłyszeli głos jego niski, o szorstkiem i bezlitosnem brzmieniu; zaś jeszcze nielitościwiej uderzała treść słów mówionych: „Rozdaję jaszczurczy, któż wam pokazał, abyście uciekali od przyszłego gniewu? Czyńcież tedy owoc godny pokuty...”

W gromadzie powstał szmer. W pośrodku pospolitego ludu znajdowało się tam kilkunastu faryzeuszów, których serca, kochające sławę narodu, ścisnęły się cierpieniem.

Prorok popatrzał, odgadując. Żaden wzgląd nie złagodził surowego oblicza. Podniósł głos, zagrział okrutnymi słowami:

„Nie chcecie mówić w sobie: ojca mamy Abrahama. Albowiem wam powiadam, iż mocen jest Bóg z kamieni wzbudzić syny Abrahamowi.”

Twarze słuchających pobladły. Oto uderzył pocisk w najdroższy skarb narodu, w wyłączność Izraela. Zgroza zuchwałego bluźnierstwa czy też straszliwej prawdy zawisła ponad rzeszą.

Jeden z faryzeuszów postąpił, aby mówić. Był to mąż prawie stary, w pełnym świetle południa uwypuklały się jego strudzeniem zgięte plecy. Stał odwrócon od rzeszy, a twarzą ku Janowi. Może już mówił, rozwodził rękoma na powietrzu, aliści do uszu słuchaczy dobiegło tylko jakby zgrzytliwe łkanie.

Natomiast tem wyraźniej zabrzmiała po chwili odpowiedź Jana: „Boć oto już siekiera do korzenia drzew przyłożona. A przeto wszelkie drzewo, nie rodzące owocu dobrego, wycięte będzie i na ogień wrzucone.”

Trwoga przeleciała nad tłumem, podniósł się młodzieniec smukły i wytwornej postaci; wysłańcy jerozolimscy poznali go w okamgnieniu. Saduceuszem był z bogatego rodu; głoszone o nim, że od pewnego czasu, pożerany troską tajemną, nie zaspokaja się radościami życia.

Wstawał z szelestem kosztownych, miękkich szat, na twarzy malowała się niepomierna tęsknota, ale współzrędnie przebiegał cień obawy. Coś podobnego do wschodzącej rozpaczki dzwięczało w jego głosie, gdy wyciągając ramiona, zapytał: „Cóż tedy czynić mamy?”

Wstrzymano dech.

Jan rzekł krótko: „Kto ma dwie suknie, niech da nie mającemu, a kto ma pokarmy, niech podobnie uczyni”...

Ramiona Saduceusza opadły nieruchome.

(DN)



Władysław Bogusławski.

WSPOMNIENIE POZGONNE.

Umarł Władysław Bogusławski.

W głębokim smutku piszę te słowa i wiem, że nie tylko w imieniu swoim, ale w imieniu wszystkich, którym trudno będzie pogodzić się z faktem, że teatralnej krytyce polskiej ubył naj-



Wojciech Bogusławski, dziad Władysława.

wybitniejszy jej przedstawiciel, że ta wytworna postać, którą przyzwyczailiśmy się widzieć w teatrze na każdej premierze, nie ukaże się już nigdy wśród nas, że przestaliśmy obcować na zawsze z tym, co umiał z „żywymi naprzód iść” i, mimo sędziwego wieku, ani na chwile nie ochłodził w miłości dla sztuki, w czci dla ideału, w chęci wyszukiwania złotych ziaren poezji wszędzie, gdzie tylko dostrzegał możność tego.

A jednak nie stało Go nam naprawdę, i oto nie pozostaje nam nic więcej, jak rzucić w żalę garść słów na tę świeżo otwartą mogiłę i połączyć się w zbożnym hołdzie, złożonym jego pamięci.

Niech odpoczywa w pokoju po trudach, jakie podejmował, po zasłudze, jaką położył, po cierpieniu, przez jakie przeszedł...

Wnuk Wojciecha Bogusławskiego, niezapomnianego założyciela sceny narodowej, Władysław Bogusławski urodził się w Warszawie w r. 1838. Po ukończeniu szkół średnich studiował w Petersburgu, w Moskwie i w Paryżu. Wypadki 1863 r. zaprowadziły go do cytadeli warszawskiej, a stamtąd—utartym szlakiem—w głąb Syberii, na step Barabiński, gdzie w samotności umysł przyszłego krytyka dojrzewał i bogacił się gorzkim doświadczeniem.

Wyrwany ze środowiska kulturalnego, z otoczenia, w którym pielęgnowane były tradycje ukochani i zamierzeń wielkiego dziada, znalazł się nagle w pustce bezbrzeżnej, odcięty od rodziny i świata, pozbawiony wszelkiej łączności z tem, do czego przywykł od dziecka. Dławiąca tęsknota za krajem, oraz żywe odczucie jego nieszczęść musiały przynębiająco wpływać na młodzieńca. Nie złamały go jednak. Przeciwnie, wyrobiły w nim hart ducha i wytrwałość w znoszeniu przeciwności. Wrócił też do ojczyzny, doczekawszy się amnestyi, nie jak inwalida duchowy, ścigający z wysiłkiem resztki swoich rozbitych marzeń, ale, jak człowiek, dojrzały do czynu, przygotowany do działalności nawet w tych ciężkich, rozpaczliwych warunkach, jakie za powrotem zastał.

Głębokie przywiązanie do teatru i chęć służenia sztuce polskiej zbliżyły go na wstępie jego działalności literackiej ze sceną, a potem związały z nią wiernym, trwałym i nierozzerwalnym ślubem.

Przez lat z górą czterdzieści Bogusławski, jako krytyk teatralny, był zawsze na stanowisku.

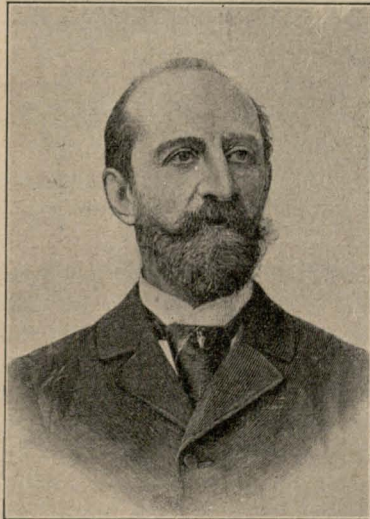
Idealista, przejęty do głębi kultem piękna, zapatrzony w słońce wielkiej poezji, domagający się nieustannie miejsca dla niej w teatrze, trafił młody jeszcze podówczas krytyk na dobę w dziejach sceny polskiej smutną. Ostatnie błyski jej świetności gości. Polityka, wkraczająca do teatru, wyciskała na nim swój stempel. Byli jeszcze znakomici aktorowie z Żółkowskim i Królikowskim na czele, nie było już repertuaru. Cenzura ostra i bezwzględna nakładała swoje pęta na wszystko, a teatr stawał się powoli instytucją nawskroś biurokratyczną, w której dla sztuki miej-

sca nie było. Wówczas to po raz pierwszy odezwały się głosy, ostrzegające przed upadkiem tej sceny, która niedawno jeszcze dorównywała najpierwszym teatrom Europy. W takim to przełomowym momencie przypadło Bogusławskiemu w udział stanąć na czas krótki na czele dramatu i komedyi. Powołany w r. 1876 na stanowisko reżysera głównego Teatru Rozmaitości i przygotowany do tej pracy, jak nikt inny, przystąpił z energią, dobrą wolą, zapalem i miłością do dzieła, poświęcając mu wszystek swój czas, całą swoją wiedzę i zdolności.

Rychło jednak przekonał się, że warunki, w jakich miał pracować, nie odpowiadały zgoła jego intencjom i zamierzeniom. Literat, stojący na czele teatru, nie mógł iść za wskazówkami, wychodzącymi z gabinetu prezesa, ani roszczeniami, wykluwającymi się w garderobach aktorskich. Pozostawało mu jedno z dwojga: albo wejść w kompromis ze swoim sumieniem literackim i lawirować pomiędzy jednym i drugimi wpływami, utrzymując się na stanowisku, albo—ustąpić. Wybrał to drugie.

Jako kierownik dramatu i komedyi, zebrał jednak w tym krótkim czasie bogaty materiał doświadczenia i zużytkował go w pięknej, do dnia dzisiejszego posiadającej dużą wartość pracy p. t.: „Siły i środki naszej sceny”.

Wracając z za kulis na fotel krytyka, rozpoczął na nowo przerwana pracę. Wykwintne jego krytyki teatralne, nie pozbawione charakteru poważniejszych rozważań estetycznych, mimo że pisane były na gorąco, pod pierwszem wrażeniem, ukazywały się w *Gazecie Polskiej*, której był stałym współpracownikiem obok Henkiela, Krajewskiego i Sienkiewicza, w *Kuryerze Warszawskim*, w *Kłosach* i w *Tygodniku Ilustrowanym*. Roczniki tych czasopis, obok *Więca*, który przez czas



Władysław Bogusławski.

czas na napisanie kilku głębszych i obszerniejszych studyów literackich, które świadczą, że umysł jego nie zamykał się wyłącznie w dziedzinie teatru, ale obejmował szerokie horyzonty sztuki wogóle. Studya te, zebrane w jedną całość, stanowiłyby mogły cenny nabytek krytyki polskiej, w której Bogusławski reprezentował kierunek subiektywny i dążenie do szerszej syntezy.

Wysoka kultura literacka i artystyczna, jaką wyniósł z domu, wiedza, którą zdobył w świecie, i smak, który wykształcił na najlepszych wzorach francuskich, czyniły go zawsze zajmującym. Nade wszystko jednak podbijała w nim wytworność formy. Czysta i piękna polszczyzna stawia go w rzędzie najlepszych prozaików doby ostatniej. Nadto pióro jego posiadało niezwykłą godność i niezwykły wdzięk. Nie prowadziła go nigdy namiętność, nie bryzgało ono nigdy zólcia i jadem, i w całej puściźnie literackiej Bogusławskiego niema chyba ani jednego wyrazu, któryby świadczył o tem, że ten pisarz chociaż na chwilę obniżył swój ton i dał się porwać wirowi czy to jakiejś polemiki, czy jakiejś animozji osobistej. To wszystko było poza nim.

Szczególniejszą wartość posiadają jego prze-

glądy teatralne i muzyczne, zamieszczane stale od szeregu lat w *Bibliotece Warszawskiej*, której był współredaktorem.

Tu krytyk, nie skrępowany szczupłością ram dziennika, wypowiadał się szerzej, motywował swoje poglądy starannie i ubierał je w formę kunsztowniejszą. Obok tych rozpraw i *essay*ów artystycznych—bo na to miano zasługują bez zastrzeżeń owe przeglądy—nie będzie mógł przejść obojętnie żaden krytyk teatralny polski, a przyszły historyk sceny warszawskiej znajdzie w nich bogaty i niezastąpiony materiał, zwłaszcza do dziejów lat ostatnich, kiedy upadek tej sceny, przewidywany przez Bogusławskiego o dda w na, stał się faktem dokonany i kiedy w dobie rozwielmożenia się farsy, kinematografu i kabaretu smak publiczności zwirodniał i zepsuł się doszczętnie.

Bogusławski, który całe życie pracował nad podniesieniem tego smaku, szczerze bolał nad tem, i ta boleść podyktowała mu wiele trafnych przestroż i głębokich uwag, które nie utracą swej wartości nawet w warunkach, dla sztuki pomyślniejszych.

Warunków tych Bogusławski nie doczekał, tęsknił jednak ku nim i rwał się nieustannie, wierząc, że przyjdą.

Nie było też pracy, którejby się nie podjął, o ile w założeniu swoim i w perspektywie miała ona dobro teatru na celu. Już w r. b., na kilka zaledwie miesięcy przed zgonem, kiedy organizm jego nurtowała ciężka choroba, nie zawahał się przyjąć obowiązku przewodniczącego w *jury* konkursu dramatycznego, ogłoszonego przez Dyрекcyę teatrów rządowych w Warszawie, i *jury* to zorganizował.

Obywatelska gotowość do pracy cechowała każdy jego krok, a punktualność, z jaką wywiązywał się ze wszelkich zobowiązań, była wprost rzadka. Jeżeli brał udział w jakiej akcji zbiorowej, koleżeńkiej, pierwszy przychodził na posiedzenia, dbając zawsze o to, aby sprawa, dla której przybywał, jak najpomyślniejszy wzięła obrót.

Zjednało mu to uznanie, szacunek i zaufanie w kołach literackich Warszawy. Powołany przed kilku laty na stanowisko prezesa Kasy Literackiej, zaszczycony został w r. ub. godnością jej członka honorowego, a po zawiązaniu się Towarzystwa literatów i dziennikarzy polskich jednogłośnie wybrany został na jego pierwszego prezesa i ostatnie miesiące życia poświęcił trosce o rozwój i przyszłość tej instytucji.

Tracimy w nim też nie tylko wybitnego pisarza, znakomitego krytyka i obywatela bez skazy, który chorągiew swego zawodu trzymał wysoko, ale tracimy także niezastąpionego przewodnika, który odchodzi od nas w chwili, gdy jego rada i doświadczenie były nam potrzebne.

Tem większy żal kładziemy u jego trumny, tem dotkliwsza jest dla nas strata człowieka i pisarza.

Cześć Jego pamięci!

Z. DĘBICKI



KOSA.

Napisał S. R.

Biedaczka przez następnych dni kilka, czy też więcej, pozostała w zupełnej nieświadomości, co się z jej synem dzieje i co go w rezultacie czeka...

Jednocześnie i Paweł Landowski, siedząc w celi więziennej, pozostawał także w zupełnej nieświadomości losu, spotkać go mającego.

Późnym wieczorem 16 sierpnia 1864 r. raptownie obudzony został ze snu przez kapitana Żuczковского, znanego „opiekuna” więźniów cytadeli, który ni stąd, ni zowąd zapytał, czyliby nie życzył sobie widzieć rodziców? Stęskniony do nich, naturalnie, bez namysłu odpowiedział, że bardzo sobie tego życzy. Weszło zatem do celi dwóch żandarmów, i między nimi ustawiono więźnia opodal od drzwi wchodowych, następnie rozwarło je szeroko, a w nich przy słabem oświetleniu ujrzał, pod eskortą innych żandarmów i kapitana Żuczковского z tyłu, ojca i matkę, wyciągających ku niemu ręce z rozpaczą; gdy się chciał ku nim po-



Ludwik Mierosławski.

sunąć i uściskać zbolełych, żandarmi powstrzymali go gwałtownie, krzyżąc:

— Nielzia, nielzia!

Drzwi mu przed nosem natychmiast zatrzaśnięto, i tak się skończyło widzenie więźnia z rodzicami.

Przed północą otworzono znowu celę i wpuszczono do niej kapucyna, w którym Landowski poznał ojca Felicissima. Ten z poważnym i smutnym nastrojem zbliżył się do więźnia, przerażonego nieoczekiwaną a złowrogą w jego położeniu wizytą, i w te się odezwał słowa:

— Przynoszę ci, bracie, pozdrowienie z tamtego świata...

— Co to znaczy, ojcze? — zapytał Landowski.

— Przynoszę ci krzyżek złoty od przyjaciela twego, Romana Żulińskiego, oddany mi przez niego na chwilę przed kaźnią, której, niestety, byłem świadkiem *). Prosił mię, aby w chwili stanowczej wręczyć ci ten krzyżek, jako znak widomy, iż skazany wówczas jeszcze myślał o tobie i pragnął, aby ten krzyżek był ci pociechą i pozdrowieniem od niego...

— Czyliż i ja jestem na śmierć skazany? — zapytał trwożliwie Landowski.

— Tak, mój bracie — smutno oświadczył zakonnik.

— Kiedyż to ma nastąpić?

— Jutro rano o 9-tej.

Trudno opisać uczucie, jakiego się doznaje wobec takiej nowiny...

Landowski, opowiadając mi tę chwilę, miał minę dosyć wesołą, ale zapewne tylko

*) Dnia 5 sierpnia 1864 r. na stokach cytadeli, mniej więcej w tem miejscu, gdzie dziś stoi dworzec drogi Nadwiślańskiej, powieszono pięciu członków rządu narodowego, t. j.: Trauguta Romualda, Krajewskiego Rafała, Toczyskiego Józefa, Żulińskiego Romana i Jeziorańskiego Jana.

z tego powodu, iż przyjemne jest wspomnienie złego. Przypuszczam, iż przed trzydziestu laty mniej wesoło wyglądać musiał, kiedy mu powiedziano, że chwile życia jego są policzone.

Zakonnik następnie zapytał więźnia, czyliby wobec zbliżającej się śmierci nie chciał po chrześcijańsku pojednać się z Bogiem. Na to odrzekł mu Landowski, że jest luteraninem, że gotów jest to uczynić, ale z pastorem luteraniskim, którego też widzieć życzyłby sobie, wszakże dziękuje ojcu zakonnikowi za pocziwe jego chęci. Ks. Felicissim uczynił wówczas nieśmiałą propozycję, czyliby więźni nie zechciał wypowiadać się po katolicku, on jednak delikatnie, lecz z całą stanowczością oświadczył, iż nie ma powodu w ostatnich chwilach życia zmieniać religii, w której wyrósł, i że postąpieniem takim, niewątpliwie, sprawiłby niewypowiedzianą boleść i tak już zbolełym rodzicom.

Wówczas, polecając go Bogu, zakonnik pożegnał się z nim, zostawiając smutnym myśłom w samotności.

Niezadługo wszakże drzwi celi ponownie się rozwarły, i tym razem wszedł już do Landowskiego pastor, aku wielkiemu zdziwieniu i radości więźnię poznał w nim swego korepetytora z lat dziecińczych. Przywitanie ich było nader serdeczne i rzewne; poczem nastąpił rachunek sumienia i wspólne modlitwy.

Wreszcie biedny nasz skazaniec, pomimo silnych wrażeń, tej nocy zasnął i, jak powiada, przespał godzin kilka spokojnie.

Rano (17 sierpnia) około godziny 8-ej, wpada raptem do celi z wielkim łoskotem kapitan Żuczkowski i, z jowialną miną, krzyczy do zbudzonego Landowskiego:

— Jakto, pan jeszcze śpi? a my tam wszyscy już oddawna na pana czekamy! ubieraj się pan prędzej!...

Za nim, w stroju czerwonym, ukazał się... kat, Dytwald, i paru oprawców, pod eskortą kilku żandarmów.

Więzię oprzytomniał, podniósł się i spokojnie zaczął się sam ubierać. Po skończeniu tej ostatniej tualety, w asystencji pastora, miłego kapitana, który wciąż naglił, i całego rozkosznego otoczenia, wyszedł na kurytarz i na świat Boży, który raz ostatni miał oglądać.

Wsadzono go na „karę” **), przy nim zajęli na niej miejsca pastor i dwóch prostych oprawców, wówczas Landowski, rozejrzawszy się dokoła, spostrzegł dopiero, iż ma mieć jeszcze dwóch innych towarzyszy kaźni... Na drugiej podobnej „karze” znajdował się jeden z tak zwanych żandarmów wieszających powstańczych, Dominik Krasuski, rzemieślnik, na trzeciej zaś aptekarz, Antoni Szmít, skazany za przygotowanie, a raczej napełnianie materią wybuchową bomb, które rzucono pod powóz przy zamachu na życie hr. Berga, dokonany przed domem hr. Zamoyskiego w d. 19 września 1863 r. Mówiono wówczas, że Szmít skazany został na karę śmierci umyślnie tylko dlatego, aby w razie konieczności ułaskawienia Landowskiego z woli cesarskiej hr. Berg miał możliwość także okazania komuś swej łaskawości.

Wszystkie trzy „kary” ze skazańcami, poprzedzone katem na koniu, a w otoczeniu wojska i żandarmów, wyruszyły jedną drogą z dziedzińca cytadeli, a na stokach jej widniały... trzy szubienice...

Landowski powiada, iż całe te przygotowania i widok szubienic wywarły nań przy-

**) Rodzaj prostokątnej skrzyni na dwóch kołach, do wywożenia śmieci przez straż ogniową w Warszawie podówczas używanej.

gnębiające wrażenie. Strach go przejął okropny, i czuł, że upada na duchu; gdy jednak wyjechał za wały cytadeli, a tu go spotkał wzrok tysięcy ludu, z entuzjazmem witającego skazańców, wstąpiła w niego taka jakaś szczególna otucha, iż natychmiast nabrał pragnienia zniesienia mężnie tej strasznej kaźni, która go za chwilę spotkać miała, i poczuł, iż wobec tego ludu nie wolno mu okazać się słabym. Tej chwili i tego uczucia nigdy nie zapomni.

Gdy pochód zbliżył się do miejsca, na którym wzniesione były szubienice, kazano wojsku bić w bębny, co też bez przerwy trwać miało do końca egzekucji. Skazańcy opuścili „kary” i zbliżyli się do szubienic, wśród piekielnego dudnienia tarabanów... Pierwszy wstąpił pod szubienicę ów „żandarm”. Związano go natychmiast, założono stryczek na szyję i zarzucono mu worek na głowę, a po chwili nieborak zawisł już w powietrzu. Widok okropny dla pozostałych...

Nadeszła kolej na Landowskiego... Oprawca, mającygo wieszac, widocznie współwyznawca z komendy Dytwalda, widząc przy swym delikwencie pastora, nadspodziewanie okazał się czułym, i to tak da-

lece, iż uważał za stosowne, we właściwy sobie sposób, pocieszać go i dodawać mu w ostatniej chwili odwagi. Wiążąc mu więc ręce, uspokajał:

— Niech się pan nie boi, to nic takiego straszego; ja postaram się, żeby się pan nie męczył, to długo nie potrwa, ja to potrafię... bo mi żal pana...

Potem, gdy już skazaniec wstąpił na ruchome schodki pod szubienicą i gdy, po założeniu pętli postronka na szyję, zaczął kat ją zbyt mocno ściągać, tak iż Landowski syknął z bólu, pocziwy oprawca przeproszał go, objaśniając z całą naiwnością, iż umyślnie tak silnie zaciska pętlę, aby się potem nie męczył więcej, jak jedną lub dwie minuty... przecież to głupstwo?!

Przyznać musimy, iż to znalezienie się oprawcy było objawem pewnej, niewygastej w nim miłości bliźniego, tylko w swoim rodzaju, wszak prawda?

Z kolei zarzucono Landowskiemu worek na oczy, i nasz biedny skazaniec uczuł, że mu się schodki pod nogami chwiać zaczynają.

...W tej chwili — powiada — starał się wydłużyć nogi, aby mu te schodki z pod nich nie uciekły... Za chwilę potem nie wiedział, czy już wisi, czy jeszcze nie, i czy to tak ma być dalej... Ciemno mu było przed oczami, a w uszach huczały bębny...

Wróćmy jednak do hr. Berga. Wielkorządcą, wobec wyraźnego rozkazu cesarskiego: „Ułaskawić”, postanowił użyć wybiegu, do jakiego w analogicznym wypadku z Sierakowskim na Litwie uciekł się hr. Murawiew-Wieszatiel.

Więc powiesić! a następnie wytlómaczyć się, że ułaskawienie spóźniło się. Polecono zatem wykonać karę śmierci punktualnie o godzinie 9-ej rano, około zaś godziny trzy kwadrans na 9-tą hr. Berg w Belwederze raczył



Maryan Langiewicz.

zawołać jednego z adjutantów i, oddając mu ułaskawienie cesarskie dla Landowskiego, a swoje dla Szmita, kazał je odesłać do cytadeli, mniej więcej o wiorst pięć od Belwederu odległej, z poleceniem wstrzymania wykonania wyroku. Rychło wczas!... Zanimby adjutant znalazł kozaka, zanimby kozak podpiął popręgi i dosiadł konia, a potem, nie śpiesząc zbyt, odjechał, egzekucya, wedle rozkazu, byłaby już punktualnie o 9-ej ukończona...

I tym jednak razem szczęście sprzyjało Landowskiemu, a przez niego i drugiemu skazańców. Adjutant, wychodząc od hr. Berga, spotkał w przedpokoju wchodzącego pułkownika Zankisowa, tego samego, którego pod Parysem zranił Landowski, przez niego też zraniony wzamian. Adjutant, wiedząc o tem zdarzeniu, mówi pułkownikowi mimochodem, iż nie sie dwa ułaskawienia, z których jedno dotyczy tego właśnie powstańca, z którym się potykał.

— Co, dla Landowskiego?!—woła gwałtowny pułkownik.

— Tak, dla niego—rzecze adyutant.

— Dawajcie pakiet! ja sam jęwo powiezu Landowskiemu!—i, nie czekając, porywa pakiet, skacze na gotowego w dziedzińcu swego konia i, co koń wyskoczy, pędzi na stoki cytadeli.

Takim pędem lecąc, gdy już jest blisko, widzi, że jeden ze skazańców już wisi i że drugiego wieszac natychmiast mają. Krzyczy więc z całej siły:

— Zadziera! egzekucju! pomiłowanny!—i trzęsie w powietrzu pakietem, rozpędzając zawadzające mu na drodze tłumy.

Ze wzniesienia widzi to stojący pod szubienicą pastor, a domyślając się szczęścia, gwałtownie powstrzymuje oprawcę, który już wyrwa ławeczkę z pod nóg Landowskiego... Jeszcze chwila—wszystko stracone...

Bóg chciał, obaj ocaleni!

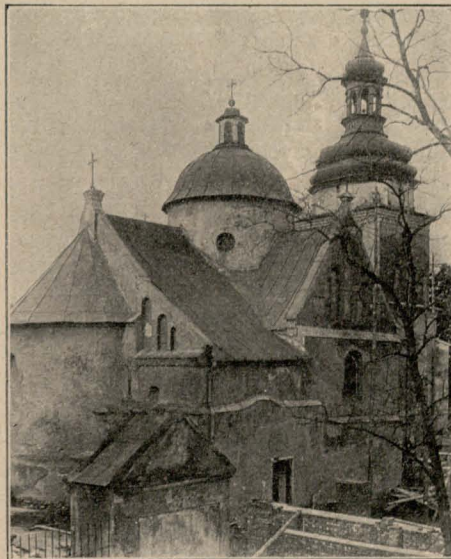
Landowski w rezultacie zesłany został na Sybir i tam lat kilka pozostawał, przechodząc różne koleje. Trzykrotne ucieczki za każdym razem dołą jego pogarszały, tak iż w ostatecznie pomieszczono go między kryminalnymi katorżnikami, t. j. najgorszą kategorią zesłańców, którzy zwyczajnie nie tolerują między sobą towarzysza z lepszego świata i prędko umieją się z takim załatwić. I w tem jednak otoczeniu umiał sobie znaleźć przyjaciół Landowski i tak przychylnie usposobił dla siebie tych nie liczących się z jakimibądź skrupułami wyrzutek społecznych, iż, zamiast niechybnej zazwyczaj w tem otoczeniu śmierci, potrafił uczynić z nich posłuszne sobie narzędzia. Za ich sprawą udało mu się nareszcie ucieczka z Syberyi przez Chiny.

Landowski, za powtórną moją u niego bytnością, opowiedział mi jeszcze wiele bardzo ciekawych wydarzeń z czasów pobytu swego na Syberyi, a gdym go zachęcał, iżby przygody życia swego opisał i drukiem ogłosił, oświadczył mi, iż rzeczywiście zamierza to uczynić, ale za lat pięć, t. j. po wycofaniu się z praktyki lekarskiej, która mu dziś zbyt wiele czasu zajmuje.

Niestety! inaczej mu było przeznaczono, bo oto d. 22 kwietnia 1894 r. zaskoczyła go śmierć prawie nagła, i to w sile wieku męskiego. Niech więc, jako pamiątka po nim, pozostanie ten nieudolny mój opis jednego z głównych i ciekawych epizodów jego życia.

Kościół w Zielonej Dąbrowie.

Idąc szlakiem pielgrzymek do Częstochowy, nieopodal od świętej Anny, spotykamy bardzo ciekawy zabytek budownictwa kościelnego XVI wieku. Jest nim kościół w Zielonej Dąbrowie.



Kościół w Zielonej Dąbrowie.

Miejscowość ta, jak wskazuje kopia aktu erekcyjnego, wryta na kamieniu ponad drzwiami zakrystyi, została nadana w XIII wieku (rok MCCXVIII) przez Kazimierza, ks. kujawskiego, łęczyckiego i dobrzyńskiego, jednemu z dworzan, imieniem Zbigniew.

Obecnie stojący kościół był zbudowany przez ks. Stanisława Dąbrowskiego, proboszcza parafii i dziedzica dóbr Dąbrowa w r. 1554, po rozebraniu starego, chylącego się ku upadkowi kościoła. Gdy pod wpływem czasu i zaniedbania kościół ten ku zupełnej chylił się ruinie, w r. 1776 proboszcz tegoż kościoła, ks. Stanisław Oszczewski, kanonik katedry krakowskiej, przyprowadził go ponownie do zupełnego porządku.

Teraz kościół ten, w skutek ciągłego wzrastania ludności, stał się zbyt szczupłym na potrzeby parafii, obecny więc jej proboszcz, ks. Ryszard Jasiński, podjął myśl zbudowania nowego lub powiększenia starego, znajdującego się w dość dobrym stanie.

Kwestya, co należy robić w takim wypadku, zawsze jest dość trudna do rozstrzygnięcia. Przebudowywanie zabytku przeszłości grozi niebezpieczeństwem zniszczenia jego charakteru i pamiątek, wybudowanie zaś nowego z pozostawieniem starego opiece publicznej w stanie nieużywalności doprowadza zawsze ostatecznie do ruiny dawnego zabytku.

Stosując się do orzeczenia Towarzystwa opieki nad zabytkami, inż.-architekt Łukasz Wolski wybrał pierwszą z tych dróg, mianowicie przebudowanie starego kościółka, pozostawiając jednak, o ile możliwości, nie naruszonym stary, dostrajając nowy do charakteru starego.

Dzięki energii miejscowego proboszcza, ks. Jasińskiego, oraz ofiarności i współdziałaniu dziedziczki Zielonej Dąbrowy, p. Scheiblerowej, administratora, p. Kozłowskiego, oraz miejscowych właścian, budowa wkrótce będzie ukończona.

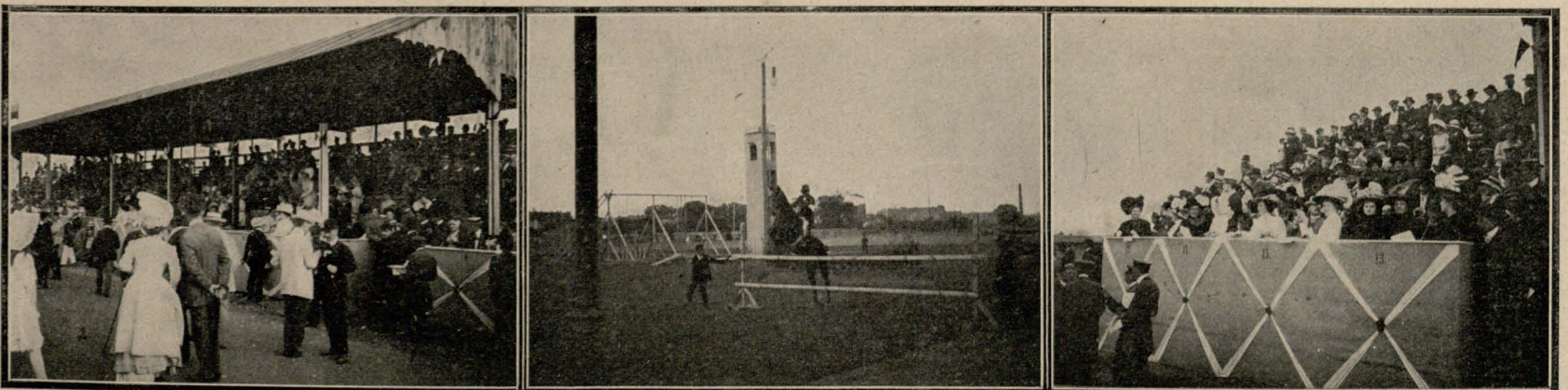
Obecnie zakładane są już sklepienia i przystępuje się do krycia całości blachą miedzianą.

F. P.

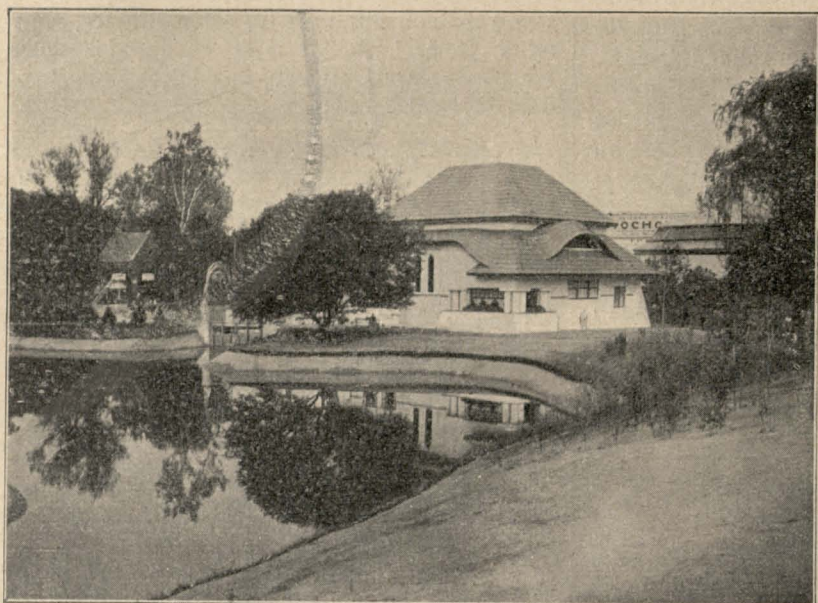


Ruchomy kiosk Tygodnika Ilustrowanego zwraca na wystawie częstochowskiej powszechną uwagę.

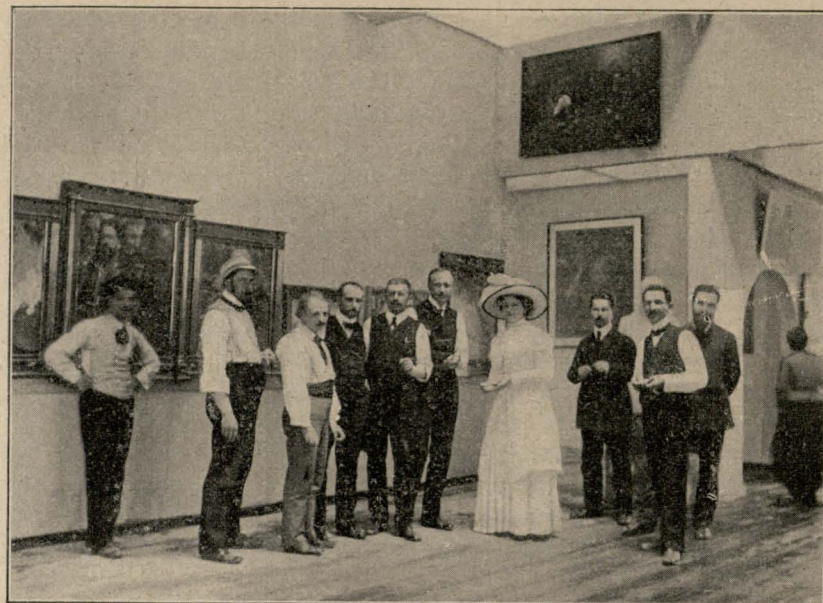
KONKURS HIPPICZNY W CZĘSTOCHOWIE.



1) Przed trybunami podczas przerwy. 2) Inżynier Szuk (nagroda 1-sza) bierze przeszkodę. 3) Trybuny podczas biegów; w pierwszym rzędzie p. Hlavaczkowa i panny Biegańskie.



Pawilon sztuki.



Grupa wystawców w dziale sztuki.

DOM SZTUKI

NA WYSTAWIE W CZĘSTOCHOWIE.

Skromne miejsce wyznaczono sztukom pięknym na wystawie przemysłowo-rolniczej w Częstochowie.

Zapewne dział ten wytwórczości mniej może interesuje przemysłowców i rolników, a zwłaszcza nie interesuje ich, jako takich, bezpośrednio, ale przecież wszyscy oni poza specjalnością swoją mogą mieć potrzeby ogólnokulturalne i estetyczne. Dla zadowolenia tych potrzeb właśnie wzniesiono w obrębie wystawy teatr, który również niewiele ma wspólnego z hodowlą koni i rozwojem fabrykacji maszyn rolniczych, niemniej przecież był po prostu rzeczą nieodzowną w przedsięwzięciu, mającym na celu ściągnięcie do miasta prowincjonalnego ciekawych z całej Polski i krajów ościennych.

Tak jest ze sztuką plastyczną.

Wielka wystawa powinna była na czas trwania swego pozyskać instytucje jeżeli nie wszechświatowe, to przynajmniej chociaż wielkomiejskie. W takich wypadkach robi się to prowizorycznie, w pawilonach z juty czy płótna, imitującego często w sposób dość łudzący potężne bloki kamienne, ale w improwizowanych tych pałacach mieści się ziarno wybrane, kwiat najpiękniejszy, że tak powiem, kwintesencja twórczości całego kraju. I tak jest istotnie w niektórych działach, jak to wielokrotnie *Tygodnik* zaznaczał. Jeżeli jednak ktoś ze zwiedzających wystawę częstochowską chciał z urzędzonego tam pawilonu sztuki powziąć wyobrażenie o naszej twórczości artystycznej, byłoby ono arcy-niekompletne.

Właściwie mówiąc, projekt pokazania sztuk pięknych pierwotnie w założeniach wystawy nie istniał wcale. Był zamiar działu tego nie uwzględniać, i tylko przeznaczono pawilon jeden na popis prac architektonicznych, jako bliżej, czy organiczniej związanych z rozwojem przemysłu. Dopiero artyści architektki pociągnęli za sobą innych artystów sztuk pokrewnych, i tak zebrano tu trochę dzieł z dziedziny malarstwa, rzeźby i sztuki stosowanej.

Ta trocha jest właśnie bardzo nie wystarczająca; są to nadto, z małymi nader wyjątkami, rzeczy znane z salonów warszawskich, co, oczywiście, odbiera im interes nowości.

Wogóle już sama koncepcja pawilonu sztuki nie nadaje się na wystawę artystyczną w szerokim, najpowszechniejszym słowa tego znaczeniu.

Najwłaściwsze do celów tych są wielkie hale z górnym oświetleniem, jakieś niezbyt wysokie, prostokątne szopy, któreby w dachu miały dość obszerne okna, dostarczające należytą ilość koniecznego dla wystawionych dzieł światła.

„Dom sztuki”, wzniesiony na wystawie częstochowskiej według pomysłu architekta pana Jana Witkiewicza, jest budowlą, skomponowaną w stylu swojskim i rzeczywiście niezmiernie ciekawą, malowniczą i sympatyczną w ogólnej sylwecie, ale nie posiadającą tych właśnie warunków wystawowych. Przypomina to stary lamus, czy nawet może karcznię przydrożną z wielce charakterystycznym i niskim podcieniem.

Nad podwójnym, złamanym mansardowo dachem wyskakuje bardzo szeroki biały komin. Jest to rodzaj czworobocznego nie nakrytego pudła, którego dno stanowi okno, dające światło na halę środkową. Otóż okno to, umieszczone zbyt wysoko, nadto przesłonięte przez belki wiązań konstrukcji dachowej, dla obrazów, umieszczonych na dole, nie jest dość wystarczające. Rozwiązanie takie oświetlenia hali wewnętrznej byłoby zupełnie na miejscu gdyby środek jej na wysokości pierwszego załamania dachu obiegała galeria. Tamby, w tej drugiej kondygnacji poddasza, obrazom było wygodnie i widno.

Tymczasem w miejscu tem rozwieszono sufit muślinowy, który też odcina całą przestrzeń górną, zupełnie w danym razie nie użytkowaną dla celów wystawowych. Jest ona zatem zbyteczna, a nawet w pewnej mierze szkodliwa, gdyż od-

dała okno od dna hali, na której dolnych ścianach rozwieszono są prace artystów.

Celowość jest nieodzownym warunkiem piękną w architekturze, zresztą jest ona wogóle jednym z czynników estogenicznych. Dlatego też poznanie wnętrza budowli obniża dodatkowo wrażenie, jakie sprawia ona swoją zewnętrzną sylwetką.

Zapewne musiało to być komponowanie dla innych przeznaczeń, gdzieby ogrom przestrzeni w poddaszu mógł być racjonalnie użytkowany. Chociaż i tu jeszcze nasuwa się mała uwaga praktyczna: jeżeliby dom podobny miał być postawiony trwale i ów komin, czy właściwie jego formy, miałby odgrywać rolę oberluftu, w takim razie okno z dna pudełka musiałoby być przeniesione na jego wierzch, to jest zakończyć komin mniej lub bardziej ściętą piramidą szklaną. W przeciwnym bowiem razie pudełko w czasie zimy ciągle byłoby pełne śniegu. Dotąd uwzględniono tylko u nasady owego pudła otwory dla odpływu wody.

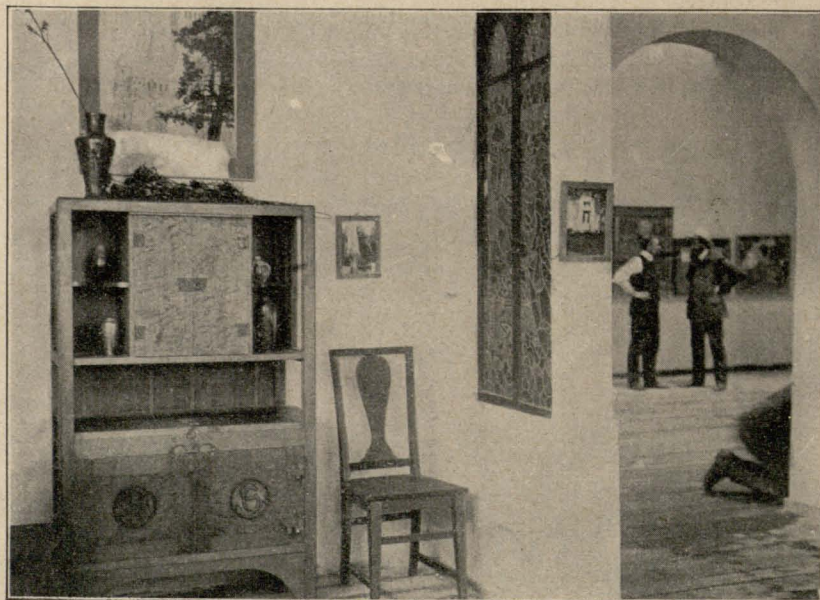
Dom nadto oświetlony jest w bocznych ubikacjach kilku oknami szerokimi, tudzież kilku oknami o wykoju ostrołukowym, co się doskonale nadaje do wystawy witrażów. A jest tu ich kilka, i to pierwszorzędnych, że wymienię „Św. Salomeę” Wyspiańskiego, przepyszne kompozycje w tym zakresie Mehoffera, Trojanowskiego i innych.

Z utworów malarskich większość, jak pisałem, znana już jest z naszych wystaw warszawskich. Nowe są tylko dwa bardzo oryginalne mallowidła i dwa piękne rysunki piórkowe przedwcześnie zgasłego, a wysoce utalentowanego malarza Wojtkiewicza. Nie znany jest, zdaje się, również piękny, pełen nastroju krajobraz nocny Szczyglińskiego.

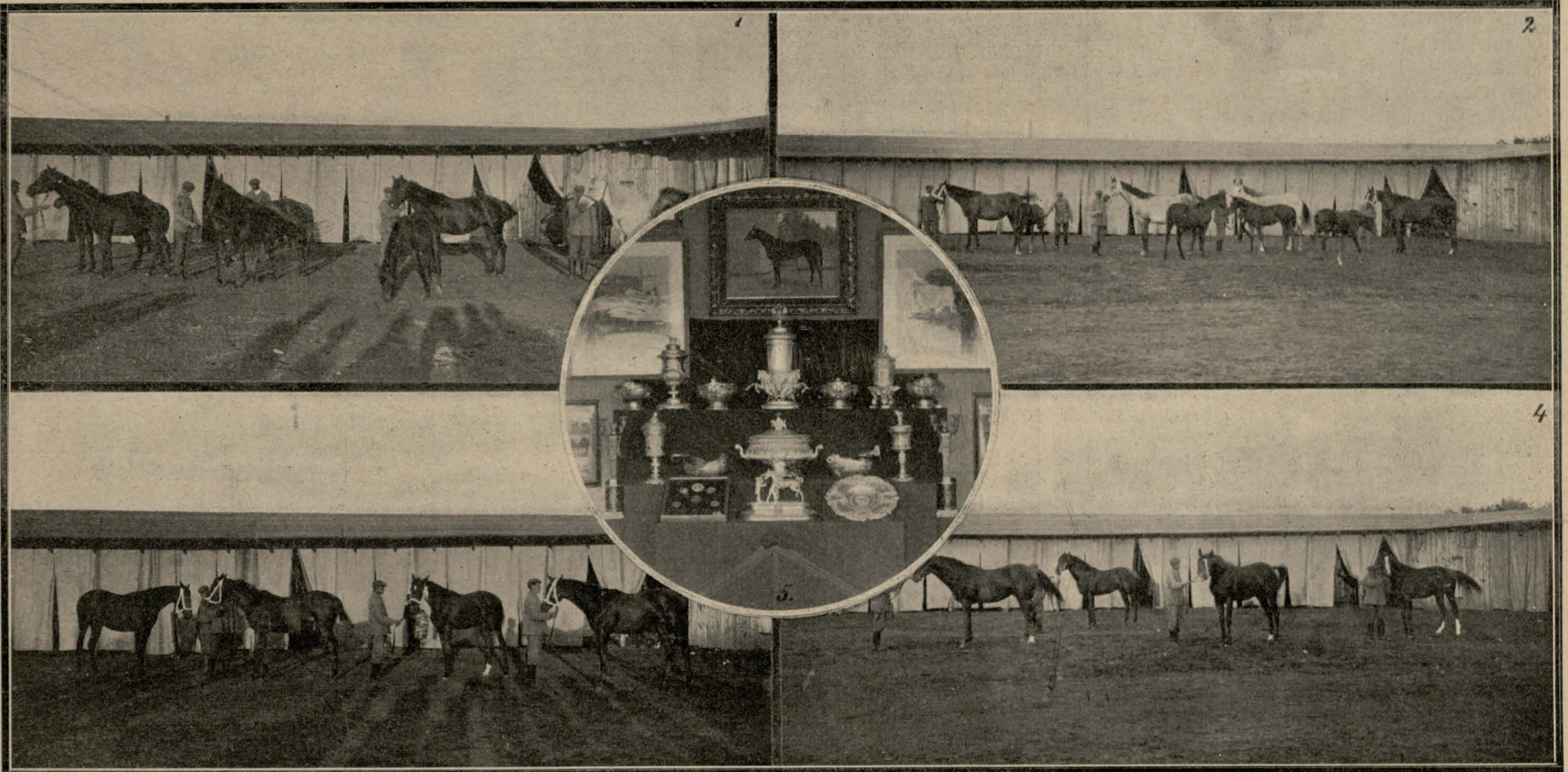
Poza tem ze starych znajomych spotykamy tu obrazy i rysunki Bukowskiego, Chełmońskiego, Czajkowskiego Józefa i Stanisława, Frycza, Kamockiego, Krasnodębskiego, Krzyżanowskiego, Łopieńskiego, Malczewskiego, Masłowskiego i Żmurki.

W dziale rzeźby najobficiej wystąpił p. Ksawery Dunikowski. Ma on tu, prócz znanych z Warszawy portretu Kamińskiego, „Kobiety w całej postaci” i „Biustu kobiecego”, bardzo ciekawą kompozycję religijną, „Zwiastowanie”. Dalej występują z pracami rzeźbiarskimi pp.: Kratka, Breyer i Chrzanowski, który nadto w dziale sztuki stosowanej wystawił swoje majoliki.

Z miejscowych rzeźbiarzy bardzo korzystnie przedstawił się p. Rudlicki, jako autor „Głowy katorżnika”.



Fragment wystawy sztuki stosowanej.



WYSTAWA KONI W CZĘSTOCHOWIE. STAJNIA Ks. LUBOMIRSKICH, KRUSZYNA-WIDZÓW.

1) Grupa klaczy włościańskich ze źrebakami po ogierach widzowskich. 2) Grupa matek półkrwi ze źrebakami (od lewej ku prawej: „Azyadé”, „Grabczyzna”, „Drawa”, „Dark Lantern”). 3) Roczniaki ze stada. 4) Ogier-reproduktory: „Brzask”, „Fordan”, „Iran”. 5) Wnętrze pawilonu centralnego: przedmioty, wygrane przez konie ze stajni widzowskiej.

Najlepiej wypadła architektura. Są tu plany, rysunki, makiety drewniane i gipsowe, a wszystko nacechowane świeżością myśli i szlachetnymi usiłowaniami zdobycia nowej formy. Nie mam miejsca na opisywanie szczegółowo wszystkich wystawionych projektów, na kościoły, pałace i domy dochodowe—projektów, z których wiele doprawdy uderza oryginalnością pomysłu. Powiem najogólniej, że w dziedzinie tej ożywia się duch twórczy i dążność do wydobycia się z rutyny i szablonu.

Z uczestników wymieniam pp. Nowakowskiego, Skórowicza, Witkiewicza, Gay'a, Kalinowskiego i Przybylskiego, Lilpopa i Jankowskiego, Tołwińskiego i Stifelmana, Jakimowicza i Minkiewicza, oraz pp.: Handzelewicza, Mączyńskiego Zdzisława, Sosnowskiego i Heuricha. T. JAROSZYŃSKI.



Karol Łącki, wiceprezes Częstochowskiego Towarzystwa Rolniczego, członek Komitetu wystawy.

pełnej krwi angielskiej. Więc do tego celu został użyty ogier „Bohun” po matce arabce i po perszeronie, którego potomstwo stanowi znakomity materiał stadny, ogromnie poszukiwany przez włościan.

Dopiero córki Bohuna stanowił ogier pół krwi, a potomstwo tego ostatniego ogier pełnej krwi angielskiej. Jego córki ma znowu stanowić ogier w typie „Bohuna”.

Dzięki kilkunastoletniej konsekwentnej pracy w tym kierunku, okoliczna hodowla włościańska podniosła się znacznie. A dowodem tego były konie drobnych gospodarzy, przyprowadzone na wystawę, dość rosłe, dobrze zbudowane, o ładnych kształtach, świetnie utrzymane, co świadczy o wielkiej staranności i zrozumieniu przez włościan korzyści hodowli racjonalnej.

Stajnia kruszyńska a hodowla włościańska.

W ubiegłym tygodniu odbywała się w Częstochowie wystawa koni. Wśród przyprowadzonych okazów najwybitniejsze należały do stajni ks. Lubomirskiego z Kruszyny-Widzowa.

W kołach naszych sportsmenów stajnia ta jest tak znana i głośna, że byłoby zgoła zbyt ciężko pisać o niej. To też pragniemy tu tylko zwrócić uwagę na mniej znaną, a pod względem społecznym doniosłą stronę jej działalności, mianowicie na podniesienie hodowli włościańskiej w okolicy.

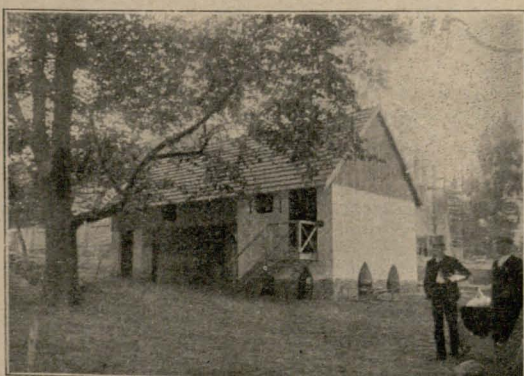
Na mocy własnych długoletnich doświadczeń, właściciele stajni doszli do przekonania, że można ten cel osiągnąć jedynie przez wytworzenie odpowiedniego materiału hodowlanego. Nasze konie włościańskie są drobne i nikłe; jedyną ich zaletą jest sucha kość.

Pierwszym zadaniem zatem było zgrubienie kości i masy; następnym—wychodowanie konia, zdatnego zarówno do roboty, jak i do szybszego biegu.

Pierwszego zadania nie mogło osiągnąć krzyżowanie bezpośrednie z ogierami pół krwi lub

Trudności do przewyciężenia były niemałe. Przedewszystkiem wrodzona nieufność naszego ludu do wszelkich nowości; trzeba było z początku płacić po rublu za każdą przyprowadzoną do pokrycia klacz, gdy dziś ciż sami włościanie gotowi są płacić po 25 rb. za stanówkę. Wielkie znaczenie dla rozwoju hodowli miały wystawy miejscowe, najpierw w Gidlach, gdzie konie były bardzo liche, a premiowano je tylko dla zachęty, potem w Kłomnicach, gdzie przyprowadzono już materiał, mogący zadowolić nawet wielkie wymagania. Wysokie ceny sprzedażne wpłynęły także na stanowisku włościan wobec hodowli: podczas

WZOROWA ZAGRODA WŁOŚCIAŃSKA NA WYSTAWIE W CZĘSTOCHOWIE.



Śpichlerz.



Chata.



Stodoła.

gdy dawniej brali za roczniki 15 — 20 rb., dziś biorą po 60—150 rb. A wynik jest taki, że liczba stanowiących przez ogiery widzowskie klaczy włościańskich wzrasta z roku na rok; przed dwoma laty doszła do 136-iu, a jeżeli w roku przeszłym i bieżącym spadła nieco, to tylko z powodu nieurodzajów i braku paszy, co zawsze odbija się niekorzystnie na hodowli.

O zwycięstwach barw Lubomirskich na różnych torach wiedzą wszyscy; tej strony działalności s'ajni widzowskiej—może donioślejszej w następstwach—nie zna nikt prawie. Dlatego zasługiwała na obszerniejsze omówienie i podniesienie.

PIERWSZA KOMPANIA

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Nie zaznałem w życiu silniejszego i piękniejszego wrażenia nad tę pierwszą kompanię do Częstochowy!

Chyba z kilkadziesiąt lat później, kiedy Warszawę przerywał stutysięczny tłum z pieśnią polską na ustach!

Tylko że tego wtedy, tego ongi nie przysięgało żadne rozczarowanie, żadne zwątpienie nie zamgliło; przetrwało więc w całej krasie i mocy.

Już na tydzień przedtem we dworze, we wsi, ba! w całej parafii nie mówiono o czym innym. Przygotowywaniom nie było końca. Gospodarze szykowali podwody, gosposie piekły placki, robiły sery i masło...

Na drogę!

Nareszcie nadszedł dzień oczekiwany.

Nas, dzieci, zbudzono wcześniej, niż zwykle. Umyto, uczesano, ubrano odświętnie. Około 7-mej rano wyruszył cały dwór z dziadkiem i babką na czele na miejsce spotkania. A były niem krzyżowe drogi, wiodące ku Szczekocinom.

Tu się z księdzem proboszczem z Sędziszowa miała zejść cała drużyna pątników z kilku wsi okolicznych, do parafii należących. Pamiętam, z antyfoną na ustach ruszyliśmy z dziadkowego dworu. My przodem, a za nami pojazdy i furmanki.

Jechał więc stary Grześ koczem, w piątce kasztanów założonym, za nim czwórka bułanych z konia Kaźmirek, potem nasza bryczulka, potem wóz półtorak z obrokiem, wiktuałami i rzeczami, dozorowany przez lokaja Stanisława i kucharza Walentego. Ostatni, ofiarowując się do Częstochowy, poprzysiągł od tej pory nie pić więcej, ale na ostatek tak się jeszcze ku większemu umartwieniu uraczył, że się ledwie na nogach trzymał.



Zjazd straży ogniowych w d. 21 i 22 b. m. na wystawie w Częstochowie.

Ba, zresztą każdy się o coś i za coś *ofiarował*.

Więc Antka Bukoszczanka, najpiękniejsza w całej wsi dziewczyna, co się świeżo za Jaśka Skrzypka wydała, kroczyła z leszczynową laską w ręce, wzdychając czule do Paniarki Jasnogórskiej, aby „jeji” na jesieni dobry los przy stawce wojskowej wyciągnął, więc krzającą Marcycha „do odmienienia Pańskiego” kuli zdrowia, więc stary Miśtal dla uproszenia dobrej śmierci, a inni jeszcze ten o urodzaj, ten żeby mu się dzieci chowały, a my, dzieci, z poczciwą, zasną, świeć jej, Pani! panną Jackówną zśliśmy na intencję i za modlitwę dziadową, za modlitwę dworu polskiego...

Pod figurą u dróg krzyżowych proboszcz pokropił z górą tysięczny tłum, zaintonował litanie i ruszyliśmy w dalszy pochód.

Nas, dzieci, od czasu do czasu na gorszych drogach wsadzano do bryczki, reszta wszyscy szli piechotą.

Więc przodem obrany przez całą parafię przewodnik w otoczeniu „brackich”.

Pamiętam dwóch starych włościan raclawickich: Baniaka i Piszczaka, odzianych w białe sukmany, z chorągiewkami, a dalej szereg dziewczyn, niosących obrazy i feretrony, i znowu parobcy... U tego krzyż błyszczący, u tego chorągiew, a na każdym pas kowany, czapka czerwona...

I niech mnie o partykularny patriotyzm pogażają: niema nad mojego krakowskiego chłopca! Czy z pieśnią, czy modlitwą, czy kosą—niema. Słusznie sam o sobie śpiewa:

Z krakowskiego chłopca kawałek szlachcica:
Nie po ziemi stąpa, tylko po tarcicach!

Hej! albo i ta szlachta, idąca wtedy ramie w ramie! Ci Russoccy, Niemojewscy, Kościelniowie!

Obok sędziwego proboszcza kroczył najstarszy z okolicznych ziemian, mój dziad. Nałogowy palacz, przez całą drogę do miejsca świętego nie palił.

A droga to była długa, ile że przy każdej figurce, przy polnej pasyjcę zatrzymywano się dla odmówienia modlitwy, w każdym kościele dla wysłuchania Mszy Świętej lub Nieszpór.

Pierwszy nocleg wypadał w Nakle za Szczekocinami. Rozkładano się biwakiem, gdzie kto mógł, spożywano, co kto miał, i znowu o świcie dalej w drogę na Lelów, Potok Złoty.

Znowu brzmiała pieśń za pieśnią: „Serdeczna Matko!” „Nie opuszczaj nas!”, „Gwiazdo Morza!” Aż nareszcie dnia trzeciego, gdy ze wzgórz Olszyna ujrano wieżycę jasnogórską, cały pochód padał na kolana i już z odkrytą głową szedł aż pod mury Częstochowy.

Kiedy w lat kilkadziesiąt potem czytałem sienkiewiczowski „Potop”, gdy kompania kmicicowa zbijała się do Jasnej Góry, przypomniała mi się ta moja pierwsza kompania...

Bo, zaiste, tak samo zadygotały serca, zadrgały wargi, i nad całym pogłowiem zbożny dech przeleciał.

I do dziś widzę jeszcze te łzy w oczach moich dziadów, gdy razem z tłumem włościan czołgali się na kłęczkach od pierwszej bramy do Cudownego Ołtarza, widzę te miedziane chłopskie, rzucone na tacę, widzę te wota woskowe, składane „na światło” dla Paniarki Niebieskiej!

I zaiste, nie trzeba być ani ortodoksem, ani zelantem, aby takie wspomnienia na zawsze zachować.

Życie one winny zawsze w każdym uczciwym sercu, co się kiedykolwiek w stolicy pacierzy polskich, w Częstochowie, z ludem polskim pospołu znalazło.

Kto je w sobie potargał, lub w drugich potargać usiłuje, ten podnosi rękę na świętość milionów chłopca polskiego, na świętość wsi polskiej, na wiekowe „Salve Regina” narodu!

KAZIMIERZ LASKOWSKI.



Dawna kompania na Jasnej Górze.



NA POCZTÓWKACH.

WRAŻENIE NIECO.

VI.

Kraków.

Przypomniałem sobie polecenie pani i co tchu popędziłem z powrotem do Krakowa.

Wiem już teraz!

Hemendex — to potrawa z szynki i jaj, figurująca pod tą właśnie enigmatyczną nazwą na jadłospisie krakowskiej kawiarni Bisanza. Angielskie najpospolitsze *ham-and-egs*, podane w gwałtownym, spolonizowanym skrócie. Narazie tylko wydaje się tak niedo-

stępne dla wyrozumienia ludzkiego, a w gruncie rzeczy proste... jak jajko Kolumba. *Ham* — szynka; *and* — i; *egs* — jaja. I już.

Czy otrzymała pani mój telegram, donoszący jej o zdobyciu tego złotego runa — wiedzy kulinarnej?

Dwukroć dla tej depezy musiałem wędrować na róg Starowiślniej i Plantów, gdyż w stołecznym mieście Krakowie telegraf miejski w obiadowej porze — wypoczywał!

Zdziwiło mnie to, lecz nie wiem czy bardziej, niż napis na drzwiach gmachu poczty i telegrafu: „*Nadawanie (!)* depezy”. Łamałem sobie głowę, jakby też to telegram — nadać?

Boże, co za język — polski!

Lecz pomijam wysyłanie depezy np. *gratulacyjnej (!)* pod taką to a taką liczbą *ewidencyjną (!)*. Ot, leży przede mną np. „Księga adresowa krakowska”, niezmiernie pod względem typograficznym okazała. Przerzucam karty bry stolowe.

Roi się od reklam pierwszorzędných firm. A pisownia — jak na szyldzie karczmy paca nowskiej!

„Poleca *wyrąb* mięsa z wołów opasowych”... „do *impregnowania* drzewa”... „zegarki *precezyjne*”... taryfa na jazdę dorożek (dobrze, że nie: *fiaków*)... „piwnica *stoi w stosunku* z najznakomitszymi węgierskimi producentami”... „dom *spedycyjny*”... „towary *krótkie*” (!) — oczywiście niemieckie *Kurzwaaren*... „zegary ścienne *pendułowe*”...

O urzędowym polskim języku w Galicyi — zamilczeć wolę. Z nieprawdopodobnego zdania.

VII.

Kraków.

Opowiadano mi dziś, że niedawno przybył do Krakowa, w celu zwiedzenia osobliwości miasta, pewien bywały wszędzie Europejczyk.

Zajechał przed pierwszorzędny hotel. Służba powiodła go kurytarzem ku wskazanemu przez szwajcara apartamentowi.

Cudzoziemiec zajrzał w pokój, spytał o cenę — i nuż śmiać się! Ale to aż zanosi się od śmiechu. I co mu dorzucą jakich 50 halerzy za świecę lub koronę za opał, to on jeszcze bardziej nie posiada się z uciechy.

— Dziesięć i pół koron! Widok oknem na nie zamiataną od zapust ulicę!

I znów cudzoziemiec wybucha, że aż od jego „Ha! ha! ha!” lecą kurze z mebli, nie odświeżanych od lat dwudziestu dwóch.

Kazał sobie ów dziwny pan prowadzić do restauracji. Tam, skoro tylko wziął do ręki kartę, nowy wybuch śmiechu go opętał.

— W Amsterdamie byłem, w Londynie, w Moskwie, w Petersburgu, i czegoś podobnego nie zdarzyło mi się widzieć!

I aż za boki się bierze.

Wstał i, zataczając się od śmiechu, wyszedł do hotelowej sieni. Tam pooglądał od stóp do głów „padającego mu do nóg” szwajcara, oraz całą służbę, „całującą rączki” gościa, zdradzającego tak wyśmienity humor.

I co któremu ofiaruje, śmiejąc się do łez, hojny napiwek, tem uciecha jego wzrasta.

Aż, gdy wreszcie ośmnasty posługacz nawiązał mu się pod rękę, gość, nie posiadający się z radości, kazał zawołać dorożkę i ujął w rękę walizkę.

— Jaśnie hrabia odjeżdża?!

— A no naturalnie! — odrzeczcie bywały cudzoziemiec. — Oglądałem już rzecz najosobliwszą, jaką posiadacie: miasto *najdroższe w Europie*.



VIII.

Kraków.

Cofam wysłaną wczoraj pocztówkę.

Kraków nie jest „najdroższym” miastem w Europie. Zbawił go jeden sprawiedliwy: Hawełka.

Gdyby nie knajpowe niechlujstwo, panujące w ciemnej i dusznej jadłodajni, byłby — perłą restauracji *à la fourchette*.

Ad exemplum. Kieliszek duży dobrej śliwowicy, „kanapka” z pasztetem sztrasburskim, filiżanka bulionu, pieczeń wieprzowa (ze skórką), trzy kawałki tortu, kawa czarna, pół butelki „Grand Crémant Imperial” Moëta i Chandon — pytam: ile? Jedenaście koron i cztery halerzy!

Quod erat demonstrandum.

Wszak — że nawet jest tam starka litewska (*Litthauer Starka*) od... jednej korony (40 kop.) za butelkę. Tak! No proszę! A na Litwie w złotej księdze smakoszków zaledwie może figuruje dziś jakich ośm, dziesięć nazwisk posiadaczy istotnej „Starej wódki”. Wiem teraz, dokąd spłynął nektar litewski lokalny. Do Krakowa!

A sądziłby kto może, że nie istnieją spirytualia „do celów

lecniczych”? Są, a jakże! Też u Hawełki. Np. „Franzbrantwein Molls”. Jest też i koniak „lecniczy”; nawet zarówno w okrągłych, jak płaskich flaszkach.

Słowem — Eldorado.

Albo np. restauracja Drobnera? Muzyka tak gwałtownie głośna (wojskowa!), że działa... jak masaż na przeładowywane żołądki. Co za wygoda!

Albo Bisanz cały secesyjny? Kawiarnia, w której, jak w żywym kinematografie, można — bez żadnej dopłaty — oglądać najprzedniejsze znakomitości lokalne. Np. słynnego poetę, naśladowcę do złudzenia naśladowcę Staffa! Jakże szerokie to promieniowanie literackiej kultury, „prawda?”



Pani! Chcąc podróżować ładnie i składnie, należy śniadanie spożywać z Anglikiem (je solidnie i mówi mało), obiadować z Francuzem (konwersuje cudownie przy deserze), lecz w knajpie siedzieć radziłbym tylko z rdzennym obywatelem Krakowa. Najwytrzymalszy.

(DCN)

CZESŁAW JANKOWSKI.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał trzeci roku bieżącego.



Scena z aktu II-go komedii Duvala i Roux „Śpiew Łabędzi”, wystawionej w Teatrze Rozmaitości dnia 21 b. m.

LUDWIK GUMPLOWICZ.

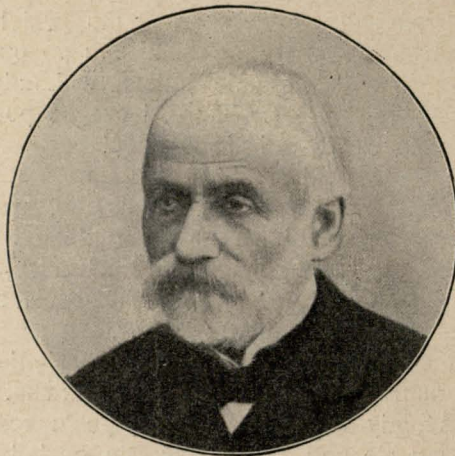
Ciężką stratę poniosła nauka polska, tak uboga w nazwiska europejskiej wagi i znaczenia, ze śmiercią ś. p. Ludwika Gumplowicza, znakomitego socjologa, autora „Systemu socjologii”, jednej z tych nielicznych książek polskich, których sława przeniknęła poza granice Polski.

Urodzony w 1838 roku w Krakowie, wychowaniec uniwersytetu wiedeńskiego, już w r. 1876 osiedlił się w styryjskim Grazu (słowieńskim Hradcu), zrazu jako docent uniwersytetu tamtejszego, od r. 1882—jako profesor nadzwyczajny, w dziewięć zaś lat potem w charakterze profesora zwyczajnego.

Oddalony od ojczyzny, pozbawiony możliwości bezpośredniego oddziaływania na młodzież, nie mógł też w tym kierunku mieć wpływu, pozostawić po sobie następców, którzyby jego system propagowali i rozwijali. To, co pozostawił po sobie Gumplowicz, to jego dzieła naukowe, a zwłaszcza jego „System socjologii”, który jest niejako syntezą nie tylko jego wiedzy rozległej i gruntownej, ale i poglądów samoistnych. Tem cenniejsza to praca, że u nas tak nieliczne grono badaczy zajmuje się studiami socjologicznymi, że wreszcie jeszcze mniej z pomiędzy nich wniosło coś własnego do nauki europejskiej (jak np. Erazm

Majewski, J. K. Kochanowski, Ludwik Krzywicki).

Prócz niwy socjologicznej uprawiał Gumplowicz też i historię, nauki prawno-politycz-



Ludwik Gumplowicz.

ne, oraz publicystykę. Z licznych prac jego w tym zakresie wymienimy najważniejsze, jak: „Wola ostatnia w rozwoju dziejowym i umiejętności”, „Prawodawstwo polskie względem Żydów”, „Projekt Stanisława Augusta reformy Żydów”, „Zdania ze wszystkich umiejętności prawnych i politycznych”, „Konfederacja Bar-

ska, korespondencya między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim”, nie mówiąc już o wielu studiach i przyczynkach, w języku niemieckim ogłoszanych.

Zamiłowanie do studyów historycznych odziedziczył po nim syn jego, Maksymilian, którego śmiałe koncepcje, osnute na podstawie świetnego rozbioru kroniki Gallusa, poruszyły przed kilkunastu laty cały nasz świat uczony, nieprzywykły do takich wysokich wzlotów. Samobójczy a przedwczesny zgon młodego badacza pograżył w głębokim smutku nieszczeniowego ojca, który z pieczołowitością i zamiłowaniem przygotowywał i podawał do druku pośmiertne prace ukochanego syna.

Dwanaście lat minęło od śmierci autora „Baldwina Gallusa”—i oto nowy dramat. Dotknięty nieuleczalną chorobą raka, 71-letni starzec, mając przed sobą zaledwie kilka miesięcy męczeńskiego życia, w dniu 19 b. m. sam przeciął pasmo dni swoich. W tę samą, ostatnią drogę poszła z nim nierozłączna towarzyska życia, umiłowana i miłująca małżonka, nie chcąc go przeżyć choćby o dzień jeden.

Przejęci głębokim żalem, ślemy na trumnę zmarłego uczonego, który sławę imienia Polski rozniósł po szerokim świecie, wyrazy czci najwyższej i przenikającego do głębi serca smutku.

☞

TYPY SEZONOWE.



LISTONOSZ WIEJSKI,

obdzielający letników wieściami z domu, kraju i świata całego. Szukać musi swych odbiorców po polach, łąkach i lasach. Cóż dziwnego, że buty zdarł w tej goniwie męczącej. Gdy przyniesie stęsknionej żonie list od męża, narzeczonej od narzeczonego, nagradzany, częstowany przysmakami, pieśczone. Gdy jest posłem niepożądaną wieści, przyjmowany opryskliwie, łajany. Za trudy swe, cierpliwość, punktualność, a także za stopy pokaleczone i odzież, przez psy wiejskie podartą, wart, aby mu dyrekcyja poczt jak najprędzej rower sprawiła!

ZMARLI.

DR. HENRYK LUBOWSKI, nestor lekarzy ciechocińskich, zmarł w Cieclocinku po długoletniej praktyce w tej miejscowości kuracyjnej. W r. z. liczne grono przyjaciół i kolegów obchodziło



jubileusz półwiekowej pracy zawodowej popularnego i szanowanego w szerokich kołach lekarza, a dziś boleje nad jego zgonem, który okrywa żałobą brata, znanego autora i krytyka dramatycznego, Edwarda Lubowskiego.



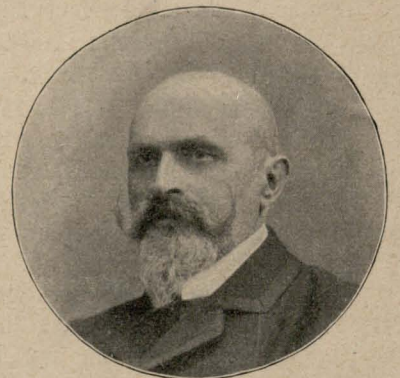
Roraty, obraz Wincentego Ślędzińskiego.

WINCENTY ŚLĘDZIŃSKI, wielce ceniony artysta-malarz, zmarł w Śniapiskach pod Wilnem. Kształcił się w Wilnie, a potem, w r. 1858-ym razem z Andriolim wyjechał na studia do Moskwy, gdzie w miejscowej szkole sztuk pięknych kształcił się pod kierunkiem prof. Zaranka. Nieraz brał medale srebrne na wystawach, zwłaszcza za „Daniela w lwiej jamie”. Dla katedry wileńskiej wykonał w r. 1862-ym piękny obraz, „Św. Kazimierz król w modlitwie”, który znajduje się tam w prezbiterium. Po wypadkach 1863 r. został skazany na wygnanie do gub. niżegorodzkiej, potem przebywał czas jakiś zagranicą u Kraszew-



skiego w Dreźnie, skąd posyłał w r. 1874 ilustracje i do naszego Tygodnika. Zmarł, otoczony szacunkiem powszechnym, na który ze wszech miar zasługiwał życiem nieskazitelnym, oraz wielkimi zaletami serca i umyślu,

DR. ADAM LESZCZYŃSKI, lekarz z Wilna, brat znanego w szerokich kołach naszego miasta mecenasa Stanisława, zmarł nagle w Bretanii, dokąd udał się na wypoczynek letni. Ojciec i matka zmarłego, Aniela z Szymanowskich, siostra żony Adama Mickiewicza, dali mu bardzo staranne wychowanie, oparte na zasadach gorącej miłości ojczyzny i na nieposzlakowanej prawości charakteru. Te zasady, wyniesione z domu, cechowały cały żywot zmarłego doktora, jednając mu ogólne



poważanie i sympatyę. Dom jego był jednym i wybitniejszych ognisk życia polskiego w Wilnie. □

Pokłosie wydawnicze.

MAPA POWIATU CZĘSTOCHOWSKIEGO ZIEMI PIOTRKOWSKIEJ, ułożył Alfons Rokicki, wydawnictwo księgarni Józefa Zradzińskiego w Piotrkowie.

Wśród wydawnictw okolicznościowych, spowodowanych wystawą częstochowską, wyróżnia się bardzo starannie sporządzona mapa powiatu częstochowskiego, wydana przez firmę księgarską J. Zradzińskiego w Piotrkowie. Znaczna ilość objaśnień i znaków, przejrzystość układu, wreszcie kilka rysunków marginesowych (klasztor Jasno-Górski, kościół św. Barbary, zamek Olsztyn) składają się na całość nie tylko pouczającą i pożyteczną, ale i miłe wpadającą w oko.

„ŚMIECH” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

MEBLE STYLOWE M. KALMUS MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

DERENIÓWKA



F. JANKOWSKIEGO.

BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.

Zawahała się Krystyna, czy wejść, czy czekać na księdza Antoniego pod kościołem. Ale właściwie każdemu wolno wejść do domu Bożego. Weszli więc cicho i stanęli oboje we drzwiach od zakrystyi. Przed wielkim ołtarzem klęczał ksiądz Antoni nieruchomy, czoło ująwszy prawą dłonią, jakby dopiero co zaniósł swą modlitwę pytającą wzyź, a teraz w skupieniu słuchał, co mówi Pan...

Pusty kościół już się mrokiem oblekał, choć wysokie okna były wielkie i jasno oszkłone. Ale za witraże od strony zachodniej starczyły gałęzie blizkich drzew, wahające się za szkłem w gobelinowe wzory. Przez niepewne światło błędziły po nawie pasma płynne, bitwy powietrzne cieniów. Napływało ich coraz więcej, wkrótce noc miała przemódz. Czarny, wysmukły ksiądz, klęczący przed ołtarzem, streszczał pustkę i mistyczny smutek świątyni.

Kazimierz i Krystyna, choć weszli cicho, musieli poruszyć równowagę fal, tutaj przelewających się, gdyż ksiądz Antoni odwrócił głowę. Zaraz uczynił na sobie wielki znak krzyża i powstał. Przeszedł w milczeniu przez zakrystyę, poważnym ukłonem głowy i ręki dał znak wyprasający z kościoła i dopiero za furtą zapoznał się z Kazimierzem i przemówił do niego:

— Już od kilku dni wyglądamy tu pana. Lny już ściągają powoli z łąk i jeziora.

— Czy prawda, że ksiądz profesor chce nas dzisiaj pozbawić swego towarzystwa przy wieczerzy? To niegościnnie—rzekła Krystyna, kładąc drobną swą dłoń na czarny rękaw księdza.

Ksiądz spojrział na nią z dziwnym uśmiechem, smutnym i przenikliwym, który wyrażał jasno powątpiewanie o jej szczerości w tej chwili; ale rzekł tylko:

— Dzisiaj muszę być u księdza dziekana. Jutro przyjdę o zwykłej godzinie.

— Można odłożyć wieczerzę z dziekanem—upierała się Krystyna zapłoniona—pan Rokszycki przyjechał tylko na parę dni.

— Nie, moje dziecko; już obiecałem. A pan może na noc do altaryi? Zawsze tam lepiej będzie, niż w karczmie.

Kazimierz nie bardzo wiedział, co znaczy „altarya”.

— Ten oto dom, gdzie mieszkają zbyteczni słudzy Boży, jak ja. Ale i rycerz Boży w przejeździe może się tam pomieścić.

Kazimierz przyjął gościnność z głębokim ukłonem.

Tego dnia nie ujrano już księdza Antoniego w dworku, gdzie do godziny jedenastej w nocy świeciły wszystkie okna niezwyczajnie rzęsiście.

XXIV.

Ksiądz Antoni i Kazimierz razem przybyli nazajutrz do dworku i i zabrali miejsca w jedynym bawialnym pokoju, którego atmosfera biblioteczna coraz bardziej przerabiała się w pozorze i zapachu na wnętrze, zamiesz-



Przed wielkim ołtarzem klęczał ksiądz Antoni.

KONSTANTY GORSKI

kane przez kwiaty i Krystynę. Wesoły, intelektualny spokój, panujący tu jeszcze wczoraj, zachwiał się od przybycia Kazimierza. Czworo tych ludzi długo tu razem pozostać nie mogło; z tej klatki, nietrwale, choć tak troskliwie zbudowanej, dwa młode ptaki przeznaczone były do odlotu.

Mężczyźni patrzyli na siebie uważnie i nieco sztywnie, jak zwykle bywa przy spotkaniu dwóch różnych i silnych indywidualności. Starania Krystyny, aby utrzymać zagnieżdżoną już serdeczność, niemal familijną, niewiele pomagały; ksiądz Antoni bardziej był dogmatyczny, Kazimierz zimniej wymowny, niż zwykle. Deszcz znowu padał na dworze, towarzystwo musiało pozostać zamknięte między ścianami. Nie ustawała jednak rozmowa poważna, zmiernająca do ideowych i utylitarnych celów w przyszłości, ale brakło ciepła i zupełnego zespolenia. Zdania dążyły równolegle po jednej płaszczyźnie, miały się, według matematyki, spotkać w nieskończoności; tymczasem jednak, dla oka, leżały obok siebie, blizkie, lecz nie zestrzelone w jedność. Ile razy Krystyna uczyniła aluzję do uprzednich rozmów z księdzem Antonim, ten uśmiechał się i przerywał, jakby chciał rzec:

— Tamto było między nami...

Omawiano jednak kwestye, gorąco obchodzące ich wszystkich.

Przyszłość polskości na Litwie była, zdaniem księdza Wyrwicza, nie tylko sprawą polityczną, lecz i etyczną. Cokolwiek dobrego i pięknego zakwitło od wieków na Litwie, miało swój początek w źródłach polskich. Litwa wydała z siebie bardzo wiele, ale jedynie przez inokulację polską. Nie ubliża to dziczce, że dobrze przyjęła i rozwinęła szcep obcy w wyborny owoc. Sama z siebie, jako dziczka, nie wydała od wieków nic, a nawet zadziwiające jest istotnie stwierdzenie faktu, że inna inokulacja, niż polska, na pniu litewskim, nie wydała żadnych owoców, albo, gdy się przyjęła, przerodziła drzewo na zupełnie inne, z gatunku zaszczepionego, nie zaś pierwotnego. Gdy się Litwini niemczą, zostają Prusakami; gdy się rusyfikują—Rosyanami. I trudnoby nawet wskazać wybitne indywidua z pomiędzy tych kategorii. Jedynie spolszczeni Litwini przynieśli rozwój i zaszczyt swojej rasie.

Rokszycki, godząc się w zupełności na te wywody księdza, przypomniał tylko, że młody ruch narodowy litewski nie chce się wcale liczyć ze wskazówkami historii. Przy-



Z błota wielkiej drogi wydostali się na suchszą ścieżkę.

KONSTANTY GORSKI

toczył rozmowę swą z Miłaknisem, który radby odwrócić na wieki kartę dziejów przeszłych, robionych przez polską i spolszczoną szlachtę, a zacząć nowe dzieje ludu litewskiego. Lud pozostał sobą i do niego przyszłość ma należeć. Jest w tem niejaka zasada—dodał Rokszycki—godzi się to z potężnym, dawno już Europę nurtującym prądem demokratyzacji społeczeństw.

— Demokratyzacya, tak—odrzekł ksiądz żywiej. — Póki demokratyzacya jest usuwaniem niesprawiedliwych przywilejów—dobrze; póki dźwiganiem ludu do wyższego obywatelskiego poziomu—wybornie. Ale, gdy się zaczyna walka z dobytami własnej kultury, aby je obniżyć do pojęć ludu, jakim dzisiaj jest, to już trąci barbarzyństwem. Nasz ruch ludowy litewski, zwany narodowym, jest przeważnie zazdrosnym ruchem społecznym, nieopatrzonym strajkiem młodszych przeciwko starszym.

— Jednakże, biorąc rzecz z ich stanowiska, jest to ruch narodowy—spierał się jeszcze Kazimierz.

— O ile dąży do rozwoju kultury li-

tewskiej, tak—odparł ksiądz Antoni.—O ile niweczyć chce kulturę polską na Litwie, jest zabójczy, bo cały dorobek kulturalny tego kraju jest tymczasem wyłącznie polski. Gdyby o tem zapomnieć, a snuć na nowo wątek nawiązany do wieku XIV-go, zanim się coś zbuduje, przestanie się istnieć. Wtedy bowiem, do obrony swej narodowości przeciw zalewowi innych, silniejszych, Litwini mieć nie będą ani wyższości wewnętrznej, ani liczebnej, ani jednego sprzymierzeńca. Sąsiedzi nie zaczekają, aż Litwa się odrodzi z gruzów i popiołów XIV-go wieku. Ażeby iść naprzód w rozwoju rasy, nie można się wyprzeć pięciowiekowej ewolucji.

— To niewątpliwe—zgodził się nareszcie Kazimierz bez zastrzeżeń.

Rozmowa przeszła w wykład księdza profesora dla wybornie przygotowanych słuchaczy. Ale Krystyna zdawała się niezupełnie zadowoloną ze zgody teoretycznej:

— Co my jednak mamy tu robić, księżce profesorze? Jest nas troje, tak samo myślących (panna Zubowska zdrzemnęła się

w fotelu) i cóż? Co mamy robić, żeby lepiej było na Litwie?

— Ha, moje dziecko! w kilku słowach nie potrafię streścić praktycznego programu. Działać zbiorowo, normalnie, jak w krajach szczęśliwszych—niezmiernie trudno. Pozostaje jedno...

— Spiskować?...— wtrąciła żywo Krystyna, błysnąwszy oczyma, jak do jakiejś zbliżającej się rozkoszy.

Ksiądz uśmiechnął się i przydługo zwlekał z odpowiedzią, wpatrując się w swą dorosłą uczennicę.

— Tak, spiskować... w Chrystusie. Dосkonalić się, być najlepszymi ludźmi w tym kraju, świecić przykładem, pociągać ku sobie bliźnich wszelkiego pochodzenia, na miłowaniu budować gmach przyszłości.

Nikt nie zaprzeczył, ale nikt już nie podtrzymał rozmowy, wchodzącej na takie szczyty.

Poczęto przeglądać bibliotekę, którą ksiądz Wyrwicz pokazywał z pedanterią miłośnika książek. Ale Kazimierz nie dość był czuły na takie odcienie, że to pierwsze wy-

danie, albo rzadka drukarnia, albo druk ozdobny. Ksiądz Antoni zaś ulegał tej słabości.

— Gdy pan dojdzie do moich lat, pozna, jaki to przyjemny towarzysz książka piękna, miła oku, zdobyta po długich poszukiwaniach. Choć treść znasz na pamięć, powracasz do ulubionego tomu, jak do przyjaciela, który wszystko już wygadał, ale, powtarzając, uśmiecha się ujmująco i dobre czasy przypomina. Książki mają swe uśmiechy.

Kazimierz uśmiechał się tymczasem do księdza, zamiast do pierwszego wydania Mickiewicza, oprawnego w czerwony safian ze starą pozłotą wileńską.

Obiad przerwał te zajęcia, smaczny, jak wszelkie szczerze produkcje sztuki, trafiający zresztą w porę na zaostrezone przez dobry klimat apetyty. Po obiedzie, jak wczoraj, rozjaśniła się pogoda, jednak ziemia tak była rozmoczona, że trudno było paniom wybrać się na przechadzkę. Ksiądz Antoni zaproponował Kazimierzowi pójść we dwóch do jeziora i obejrzeć moczenie lnu. Krystyna zgodziła się chętnie tym razem na pozostanie przez godzinę w domu; pomyślała: niech się rozgadają i poznają.

Skoro tylko z błota wielkiej drogi wydostali się na suchszą, zadarnioną ścieżkę, ksiądz Wyrwicz przystąpił do rozmowy z wyrazem twarzy uroczystym, nawet podnieconym. Rokszycki poczuł odrazu, że nie o teoriach oderwanych będzie mowa: ksiądz miał wyraźnie coś do powiedzenia *ad hominem*. Nie było to zupełnie po myśli Kazimierza. Instynktowo cenił tego obcego człowieka, wierzył zresztą zdaniu o nim Krystyny — jednak... nie przyjechał tutaj spowiadać się.

— Tak, dużo można zrobić dobrego w tym kraju — powrócił ksiądz Antoni do przedobiedniej rozmowy — zwłaszcza, gdy kto zaczyna życie, jak pan, gdy ma w ręku swe jutro.

Kazimierz spróbował przerzucić rozmowę na osobę księdza:

— Wyobrażam sobie, że w połowie męskiego wieku praca musi być jeszcze przyjemniejsza, gdy się już widzi jej wyniki. Księża, na przykład, mają tu wielką robotę cywilizacyjną, jak zresztą wszędzie. Gdyby więcej takich, jak ksiądz profesor...

Ksiądz spojrział w oczy Kazimierza i nie znalazł w nich przymilnej grzeczności, lecz prostą, rozmyślną szczerłość. I równie szczerze odpowiedział:

— Nie, panie. Ja nie jestem właściwym kapłanem dla tego kraju. Tu trzeba wiejskich proboszczów, sług Chrystusowych, a zarazem obywateli. Chciałbym być takim, ale nie wiem, czy jużbym potrafił. Zbyt wiele życia steralem na rozwijanie myśli, własnej i cudzej, ale gdzie mi do apostołów, których tu potrzeba! Staram się być wiernym sługą Bożym, tylko że grzęznę w sybarytyzmie intelektualnym...

— Ależ — protestował Kazimierz — nie sami proboszczowie są w Kościele, są i doktorowie... Przecież ksiądz profesor nauczał, teraz pisze?...

— Trochę tam tego pisania — machnął

ksiądz ręką, jednak uśmiechnął się do swego dzieła, które mu było wymówką wygodnego życia i ukochanym celem. — Nie mówmy o starych, płacących jeszcze coś ze swych zapasów bliźniemu; mówmy o młodzieży, o przyszłości, o panu. Pan chce się tu osiedlić?

— Masz tobie! — pomyślał Kazimierz — nie wykręcę się...

Ale spojrział na towarzysza i zadziwił się serdecznym blaskiem jego oczu. Więc osądził, że nic nie stoi na zawadzie poufniejszej rozmowie z tym dobrym, mądrym człowiekiem i... tak bliskim Krystyny.

— Prawdziwiebym rad tu zamieszkał, tylko... nie wiem, czy mi wystarczą środki materyalne.

— Przecie słyszałem, że pan chce budować przędzalnię? Fabryka tu, czy tam, będzie równie kosztowna. A może tu i tańsza wobec mnóstwa lnu w okolicy i cen niższych? Ale nie znam się na tem. Jednak przypuszczam, a nawet wiem napewno, że pan nie jesteś tylko fabrykantem, lecz i obywatelem. To jest główna *akcja*, której nam tu potrzeba.

— I o tem już myślałem — rzekł Kazimierz głosem głębokim.

— Ja także! — odpowiedział ksiądz żywo i tak silnie, że Rokszycki poczuł krew w skroniach, jednak nie spuszczał oczu z księdza, który teraz dłoń do niego wyciągnął.

— Od tygodni rozmyślam nad waszymi losami, pana i Krystyny.

Rokszyckiemu wstrząsnął rękę dreszcz, który aby pokryć, tak silnie ścisnął dłoń księdza, aż ten zawołał:

— Oj! nie rozmiądz mi palców, panie Kazimierzu! Rozumiem i bez tego.

Ten szczegół rozwiązał język do radośniejszej wymiany myśli. Rokszycki już teraz chciał mówić, musiał dogadać się.

— Więc i pani Krystyna mówiła coś księdzu?...

— Nie mówiła nic właśnie, a raczej tyle, że zgadnąć nietrudno. Dość na was spojrzeć... Ja znam, a pana przeczuwam, sądzę, że się nie mylę. Jesteście oboje dobrem ziarnem Bożem, a przecie i dziećmi swojej epoki...

— To znaczy?... Niech ksiądz profesor powie wyraźnie!

I do tego obcego człowieka nachylił się gwałtownie, pocałował go z rozpędu w ramię. Ksiądz również serdeczny oddał mu pocałunek na rozpalonej skroni.

— O, tak gadajmy! Jam tu nie zwykłym swatem, ani ciekawym cudzych tajemnic, tylko Krysia to już... moja ziemską troska jedyna...

Pokrył rozrzewnienie, macerując długo szorstki, w szlachetne fałdy ułożony podbródek.

— ...więc zgadłem i to, co do siebie cnujecie, i to, co was zapewne skłania do namysłu. Ona mówi, że pan musisz koniecznie bogato się ożenić...

(DCN)



ABGAR-SOLTAN.

2)

Trochę zapóźno.

NOWELLA.

— Kto go leczy? — spytał gość cicho.

— Dr. X. — odrzekła. — Doktorowie Y. i Z. byli wzywani na konsylium.

— Fuszery! — warknął jubiler. — Ja zaraz lecę po profesora Józefskiego... On jeden może dać ratunek, jeżeli jeszcze jaki ratunek jest możliwy.

Spojrział na chorego i zobaczył, że ten w pozycji leżącej nie może zostać, bo wprost dusi się. Podsunął go więc wysoko na poduszki i pośpiesznie wybiegł z pokoju.

Po kwadransie turkot toczącej się gwałtownie dorożki po nierównym bruku bernardyńskiego placu doleciał uszu Anny... Zagłuszył nawet ciągle majaczenie Piotra.

Po chwili wszedł profesor do nędznej izby... Przywitał skinieniem głowy, niby dawną znajomą, pannę Annę i przystąpił odrazu do łóża.

Panna Anna ciekawem, a równocześnie krytycznym okiem wpatrzyła się w tego sławnego lekarza, patrzyła w głębi jego duszy, niby badając, czego się po nim spodziewać można.

Profesor stał chwilę bez ruchu, wpatrzony w zmienioną, straszną twarz pacjenta, a z ust mimowolnie wyrwał mu się szept:

— Twórca bitwy pod Raszynem, księcia Józefa na wałach Pragi... ataku husary pod Chocimem... w jakim stanie!

Nagle ocknął się z zadumy i, zwracając się uprzejmie do panny Anny, rzekł:

— Jest źle! Widzę już teraz, że jest bardzo źle... Ale zbadam, nigdy nie tracę nadziei!... Pacjent jest młody, nie ma pięćdziesięciu lat. Organizm miał nad wszelki wyraz silny i odporny... Zobaczymy... Zawezwę jeszcze kilku kolegów... Wypadek jest nadzwyczajnie poważny, pacjent jest człowiekiem takiego znaczenia w społeczeństwie, że absolutnie na siebie całej odpowiedzialności brać nie mogę.

W tej chwili Weihardowi się pogorszyło... Duszności przysły takie, że zdawać się mogło, iż ostatnia już godzina się zbliża.

— Tlenu! — zawołał profesor — panie Jabłkowski — zwrócił się do złotnika — proszę pojechać do Mikolasza i wziąć dwa cylindry tlenu... Ale zaraz, zaraz!

Jubiler wyleciał, jak z procy.

Profesor zabrał się przy pomocy panny Anny do badania. Kręcił głową, i twarz mu się zasępiła coraz bardziej.

— Bardzo się boję, że zapóźno mnie wezwano... Dekompozycja postąpiła ogromnie. Zatrute wszystkie organy... Czy jest tu telefon?

— Sądzę, że jest.

— Pójdę wezwać kilku kolegów.

Wyszedł.

Wrócił po kwadransie. Za nim włókł się gospodarz, któremu nagle zrzędła była zupełnie mina. Z kurytarza jeszcze dochodził uszu panny Anny grzmiący głos profesora:

— Pan nie wiesz, kogo pan masz w swej psiej budzie... To sławny człowiek. A pan zaprowadził tu porządek, jak w żydowskiej oborze... Zaraz mi to oczyścić!

— W lot będzie porządek! — szeptał przestraszony oberżysta.

— No, panie, proszę pamiętać, a nie, to sprowadzę komisję sanitarną... Dziś jeszcze będzie każę zamknąć, żeby nie zatrzymała powietrza.

— Panie profesorze — szeptał z przestrachem gospodarz, składając ręce, jak do modlitwy.

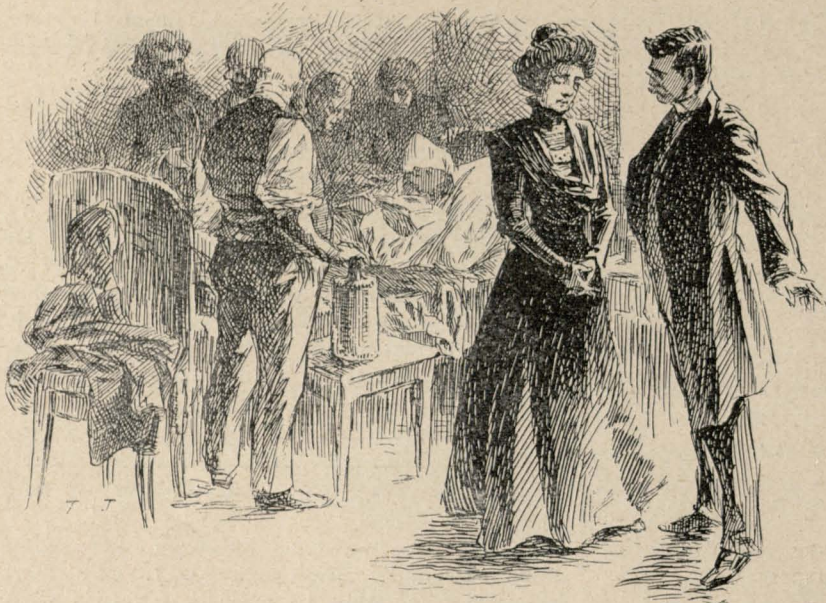
— Tu niema żartów! Mój asystent przypilnuje, aby było wszystko zrobione.

— Ależ to będzie kosztować pieniędzy.

— To wolisz pan, żeby mi kazał ci hotel zamknąć?

— Już wszystko będzie.

Po chwili zadudniała po bruku dorożka, pędząca galopem, i wnet ukazał się w drzwiach Jabłkowski, dzwigający własnoręcznie cylinder z tlenem...



Doktorzy otoczyli chorego.

— Pan musi mi posłużyć za asystenta— zwrócił się do jubilera profesor, i we dwóch zabrali się do ustawiania przyrządu do wdychania.

Tlen poskutkował narazie, w mgnieniu oka duszność zmniejszać się zaczęła, wyraz przytomniejszy zabłysnął na twarzy, ale gorączka widocznie rosła. Siła głosu pacjenta zwiększała się, krzyczał prawie, a słowa były coraz wyraźniejsze.

— Słońca mi dajcie! Światła! Światła! Płótno rozpinać na piramidzie! Obraz będę malował! Wielki obraz... Obraz naszej przyszłości!

Wszyscy zamilkli i w skupieniu słuchali. Chory głośno marzył. Opisywał wizję, zjawiającą się przed oczyma duszy.

— Patrzcie, patrzcie, jak obraz rośnie... Jak postępuje... Chorągwie idą... Stare szlacheckie chorągwie jazdy... Te same, co pod Grunwaldem już były... Są wszystkie, ani jednej nie braknie!... Pieśń „Boga Rodzica” brzmi... Potomkowie senatorów, prawniki rycerzy idą w bój zwycięski... Na wroga odwiecznego, na przebrzydłego krzyżaka. Stare herby kołyszają się na sztandarach. Lamparcie skóry z ramion spływają, husarskie skrzydła szeleszczą. Kopie lasem się zwały... herbowy lud śpieszy na rycerski tan.

Profesor umoczył ręcznik w lodowatej wodzie i przyłożył do rozpalonej głowy malarza. Pacjent zamilkł na chwilę, wnet jednak, odsuwając z siłą zimne płótno, wołał z mocą:

— A to co? Nowe znaki. Chłopy suną! Dziwne sztandary, heraldykom nie znane. Chorągwie kościelne, z Bogarodzicą i św. Józefem... Sztandary z dziwnymi znakami, kosa, sierpy, cepy, lemiesz i redlice błyszczą na nich w świetle słonecznym! Chłopi idą! Z jasnych oczu wilcza zajądłość bucha, zaciśnięte wargi zemstą dyszą. Ród Drzymałów wyruszył w pole na Niemce... Sukmany po staremu bieleją, pawie pióra tęczowe blaski sypią, ale w niedźwiedzich łapach zamiast kosa lśniący lufy angielskich karabinów i błyszczą bagnety, chłopską osetką na blank wyostrzone. Pan Włodzimierz grzmi w złoty róg... A chłopy płyną, jak fale mórz olbrzymich...

— Gorączka się wzmaga—szepnął profesor.

— Panie Jabłkowski—zwrócił się do zasłuchanego jubilera—proszę skoczyć do apteki. Tu obok do Pipesa i przynieść tu te lekarstwo.

Tu nakreślił w mgnieniu oka receptę i wtknął ją w ręce Jabłkowskiego.

Weihard mający dalej:

— Nowe znaki... Biały sztandar, jak całun, nad wojskiem się unosi, na nim dwa czarne trójkąty splecione w dal widnieją... To Żydy, polskie Żydy w bój idą!.. Wnuk Berka Joselewicza im przewodzi... futrzane czapy nasadzili... W oczach płonie ogień otchłani, bucha mściwa zajądłość!

— Oko za oko! Ząb za ząb!—grzmi hasło biblijne. Stary zakon nie zna przebaczenia! Zmarłych powstały Jankiel w cymbały dzwoni, aż ser-

ca w takt w piersiach się tłuką... Żydy idą obywatelstwo zdobywać!

Nadbiegł Jabłkowski z lekarstwem... We dwóch zaledwie udało się im wlać miksturę w zaciśnięte usta chorego. Uspokoił się trochę.

* * *

W godzinę może po przybyciu profesora Józefskiego zaczęli się zjeżdżać jego koledzy, wezwani telefonem na konsylium.

Pierwszy przyjechał profesor Wrześniowski, starzec już prawie, z ogoloną zupełnie twarzą, z wyglądem Anglika, bo też większą część życia przepędził na emigracji w Anglii.

Przyjechawszy, zanim się konsylium zebrało, rzucił okiem na pacjenta i zapytał:

— A co tam, kolego?

— Malarz Weihard; ciężki, zeniedbany wypadek osłabienia serca i chronicznego zapalenia nerek.

— Hm! hm! nic dziwnego, artystyczne choroby. Pieniądże lekko przychodzą. Wino, paszety, trufle i inne marcypany, ale Weihard, to trzeba ratować... Wielki talent, geniusz prawie... Jakaż tam prognoza, kolego?

— Kiepska! Nie może być gorsza...

Atak duszności schwycił znowu chorego. Jabłkowski aplikował mu ciągle tlen.

Co chwila tymczasem ktoś pukał do drzwi, i powagi medycyny się zbierały. Dr. Waclawicz, prof. Brzezicki, docent Kołodziejcki otoczyli chorego.

Stary Wrześniowski pierwszy badał. Wystąpił, wypukał, machnął ręką i do Waclawicza, który zabierał się do badania, szepnął:

— Daj mu kolega spokój!.. Niema co robić!.. Oddamy pacjenta najprzewieźniejszemu arcykapłanowi... My chodźmy, bośmy nie najeli się za parobków u Kurkowskiego.

— Chwilkę jeszcze—nastawał Józefski—proszę się wsłuchać.

— Co mu to pomoże—odparł Wrześniowski.—Jakby był cień nadziei, tobym przy Weihardzie siedział całą dobę, nawet więcej... Bodajby mnie za to w gazetach pochwalili, ale tu... tu niema śladu nadziei... Dziś wieczorem znacznie się agonia... Jakem były lekarz wojennej marynarki Jej Królewsko-Cesarskiej Mości angielskiej...

Anna słuchała tego skamieniała... Wreszcie Józefski rzucił na nią okiem i, nachyliwszy się do Jabłkowskiego, szepnął:

— Siostrę pan wyprowadź!

— Niema już po co!—zawołała i głośno zaszlochała.

— Masz tobie—szepnął Wrześniowski—mamy i muzykę niewieścią... Kto to?—zapytał Józefskiego.

— Siostra!

— Mogłem się domyśleć... Za stara i za dystygowana na przyjaciółkę... No, do widzenia, panowie koledzy.

Tu Jabłkowski podskoczył do staro i coś mu usiłował wcisnąć w rękę, ten go odpychał, jakby się bronił przed jakąś napaścią... Wreszcie zawołał zniecierpliwionym głosem:

— A idźże pan ze swą mamoną, czyżem to funkcjonariusz zakładu pogrzebowego, abym brał honoraria za skonstatowanie śmierci... Puśćżeż mnie dobrodzie!

Uklonił się Annie i wyszedł.

Za nim jeden po drugim opuścili pokój wszyscy profesorowie z wyjątkiem Józefskiego.

Ten, gdy się zegnał z Waclawiczem, szepnął mu:

— Proszę kolegi zastąpić mnie dziś u hr. Wolnogrodzkiego i, jeżeli łaska, wstąpić do kliniki i powiedzieć memu asystentowi, dr. Kurdzielowi, aby tu do mnie na chwilę się potrudził.

— A kolega myśli tu długo jeszcze siedzieć?

— Do wieczora!

— Ma kolega nadzieję?

— Nigdy nie tracę.

— Życzę powodzenia—i wyszedł.

Uciszyło się.

Panna Anna w kącie cicho płakała. Profesor z Jabłkowskim stali ciągle obok pacjenta i aplikowali mu wdychanie tlenu... Mimo to ataki duszności wracały coraz silniejsze...

W dwie godziny może nadszedł dr. Kurdziel, temu polecił profesor, aby ze studentów ostatniego kursu zorganizował ciągłą służbę przy chorym.

Jabłkowski wyszedł, aby udać się do redakcji i dać znać o chorobie Weiharda i niebezpieczeństwie, grożącym jego życiu.

Profesor został i z panną Anną czuwał przy chorym. Ten znowu zaczął majaczyć... Marzył głośno... Widziadła otaczały chory mózg, a zmieniały się, jak w kalejdoskopie. Wołał ustawicznie: — Światła, światła! Więcej światła! Dużo płótna, obraz maluje, święty obraz przyszłości.

Słonce tymczasem zachodziło, w pokoju mrok już był zupełny. Ataki duszności zwiększały się z przerażającą siłą... Weihard dusił się po prostu... Wszystkie okna otworzono. Reporterzy zbiegać się zaczęli ze wszech stron... Studentów przyszło kilku naraz.

Jabłkowski przybiegł jeszcze raz, już o zmroku, a widząc, co się dzieje, pobiegł po księdza.

O dziesiątej godzinie sam biskup, wielki patriota i sławny kaznodzieja, przybył dysponować na śmierć wielkiego malarza... Spowiadać go nie mógł, bo śladu przytomności nie było... Udzielił mu tylko ostatniego pomazania i długo się obok łoża modlił. Panna Anna, klęcząc tuż za biskupem, odmawiać zaczęła z nim razem litanie za konających.

Profesor i Jabłkowski, przycisnąwszy się do siebie, stali w kącie, szepcąc mimowolnie modlitwę. Nastroj był uroczysty.

Biskup skończył litanie, stał jeszcze chwilę, wpatrzony w zmienione rysy umierającego, i cicho szeptał jakąś modlitwę, później uściśnął gorąco zlodowiałe ręce panny Anny, pożegnał uściśnięciem dłoni profesora i Jabłkowskiego i opuścił smutną izbę.

Profesor, zły i zdenerwowany, przypatrywał się pacjentowi i szeptał:

— Wrześniowski miał zupełną rację! Zaczęło się konanie! Nikt go już nie uratuje!

— Ogromna szkoda!—szepnął Jabłkowski.

— Łajdactwo!—wybuchnął profesor.—Żeby mi byli dali znać dwa tygodnie temu, byłbym go uratował... Ten człowiek mógł być żyć jeszcze dwadzieścia lat... Życ i tworzyć!

— Za dumny był, aby o pomoc prosić... A pieniędzy nie miał, by za nią płacić. Dziś przysłał do mnie brylant, ostatni klejnot, drogą pa-



Umieszczono trumnę w przybranych kwiatami kościele.

miątkę od koronowanej głowy. Rozstanie się z tą pamiątką spowodowało zapewne przyspieszenie śmierci.

— Łajdactwo! — powtarzał profesor — zobaczysz pan, panie Jabłkowski, co się jutro będzie działo, co pojutrze... Wiele pieniędzy wyrzuci się na darmo... Tysiące... A na ratowanie życia nie było paruset koron... U nas tak zawsze. Mamy cześć dla nieboszczyków i dlatego żywych jak najprędzej na tamten świat wyprawiamy... Żeby był który z tych idiotów, którzy tu byli wzywani, przyszedł do mnie i powiedział, byłbym nie odstąpił chorego, byłbym go wydarł chorobie.

— Niebawem pan profesor żąda — odrzekł jubiler — zarumiałość ludzka nie zna granic.

Gdy pierwsze blaski wschodzącego słońca zaróżowiły szczyty wież bernardyńskiego kościoła, Piotr Weihard zamknął na zawsze powieki.

Panna Anna z rozpaczki zemdliała.

* * *

Ciało tak prędko rozkładać się zaczęło, że profesor Józefski w trzy godziny po śmierci kazał je włożyć do hermetycznie zamkniętej trumny... Trumnę wyniesiono do kościoła Bernadynów.

W redakcjach zapanował rwetes. Na gwałt pisano nekrologi, zbierano szczegóły biograficzne, opisywano wspaniałe obrazy, rozsypane po świecie, przyczem pokazało się, że większa ich część znajduje się zagranicą, a co jest w kraju, to przeważnie pochodzi z darów szcudrośliwego artysty, który, zarabiając od obcych ogromne sumy, hojną ręką rozdzielał dary pomiędzy instytucje krajowe. Recenzenci sztuki i estetycy na poczekaniu klecili pośpieszne oceny działalności artystycznej „przedwcześnie zmarłego mistrza”. Nawet jeden z młodych literatów bluznął w oczy

społeczeństwu zarzutem, że z powodu jego sobkostwa ten wielki talent opuścił ten świat przed czasem.

Organ miejscowych socjalistów wystąpił z sensacyjnym artykułem, stojącym w przeciwieństwie z głosami całej prasy. Twierdził on, że społeczeństwo żadnej straty nie poniosło przez śmierć Weiharda, bo on był ukrytym hrabią, który w skutek nadmiernego hrabskiego picia i jedzenia przysmaków nabawił się nerkowej choroby i z niej umarł... Twierdził dalej, że nawet dobrze się stało, że taka egzystencja się skończyła, która napewno przejadła i przepiła majątek, odziedziczony po przodkach, a później marnowała na dogadzanie sobie olbrzymie kwoty, zarobione dzięki talentowi, niesprawiedliwie jej udzielonemu.

O szóstej wieczorem odbyło się nadzwyczajne posiedzenie rady miejskiej i uchwalono jednogłośnie, aby Weihardowi wyprawić wspaniałą pogrzeb kosztem miasta.

O siódmej wieczorem przeniesiono trumnę ze zwłokami i umieszczono w przybranym kwiatami kościele bernardyńskim.

Karty żałobne, rozlepione po całym mieście, oznajmiły mieszkańcom, że naród poniósł tak olbrzymią stratę.

Tłumy niezliczone odwiedzały katafalk z trumną artysty. Kościół kapał się w potokach światła i dyszał falami woni kwiatów, których całe gaje otaczały katafalk... Procesje te odbywały się do późnego wieczoru.

Trzeciego dnia rano o dziesiątej rozpoczął się okazały pogrzeb, jeden z najwspanialszych, jakie w ostatnich latach widział Lwów. Rzesze, tłumy ludu zalegały cały plac bernardyński i przyległe ulice. O dostaniu się do wnętrza kościoła marzyć nawet nie było można. Cały ten tłum

ogarnięty był jakimś szałem... Trumna ze zwłokami artysty stała się nagle jakby świętością narodową. Zapał rósł z każdą chwilą.

Złotousty biskup wypowiedział mowę pogrzebową, w której przeszedł sam siebie, bo i jego ogarniał ogólny zapał... Ze słów natchnionego kapłana wprost żyły ciekły.

Studenci uniwersytetu i politechniki, jak piórko, unieśli ciężką metalową trumnę na swych barkach i całą drogę do cmentarza łyżczakowskiego wyrwali ją sobie z rąk.

Trzy rydwany żałobne i prosty karawan ugięły się pod ciężarem wieńców wspaniałych. Kosztem pieniędzy, wydanych na wieńce, można było trzech ludzi utrzymać przez rok w najwskwintniejszym sanatorium.

Na cmentarzu wszystkie stronnictwa polityczne wyznaczyły mówców do „uczczenia wielkiego zmarłego”, czuć było, że mówią z serca, z głębi duszy.

Wreszcie spadły grudki ziemi piaszczystej na metalowy wierzch trumny i głucho, ironicznie zadzwoniły.

Mularze zabrali się do zamurowania otworu w nowym grobie.

Kurtyna spadła!

* * *

W bramie cmentarnej profesor Józefski spotkał jubilera Jabłkowskiego.

— Mogę pana podwieźć — zaprosił go uprzejmie

— Z chęcią skorzystam — odparł.

Usiedli razem.

— Najlepszy interes u nas umierać! — rzekł medyk.

Skinieniem głowy potwierdził jubiler.

Milczeli potem całą drogę.

W czerwcu, 1909 we Lwowie.

NADESŁANE.



Od przeszło 40-stu lat polecana przez lekarzy całego świata jako idealny pokarm — DLA DZIECI — i dorosłych chorych na żołądek.

GEBETHNER i WOLFF
PIANINA i FORTEPIANY
W WARSZAWIE
KRAK.-PRZEDM. 17



Dostać można wszędzie.
KALODONT

NIEZBĘDNY

KREM DO ZĘBÓW

zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.

Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku, G. G. LARDELLI Czekoladę **Mleczną-Unique**, **Czekoladki Deserowe**, oraz Wyroby Cukiernicze.

Ostrzeżenie.

Mamy zaszczyt przypomnieć Sz. Publiczności najczęściej rozpowszechnioną zaprawę „HYGIENA” do podłóg i zarazem prosić o łaskawe zwracanie uwagi na to, że w każdej puszcze, wewnątrz, zaprawa pokryta jest pergaminową powłoką z naszym znakiem fabrycznym, zatwierdzonym przez Ministerium. Tylko taka zaprawa jest naszego wyrobu. Nieuczciwych fałszerzy pociągamy do odpowiedzialności sądowej.



Centralne Laboratorium Chem. w Warszawie.

C. Skoryna

Warszawa-Praga

OLSZOWA 14, Tel. 49.

Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa Turbinów, Transmisji i t. p.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne. Opisane w nowym dziele WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa w Warszawie:

Modest Maryański

Przewodnik polsko-angielski.

Słownik polsko-angielski

dla wychodźców polskich i przybyszów do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanady, ułatwić mający stawianie kroków pierwszych w kraju obcym i naukę języka angielskiego z podaniem wymowy i brzmienia każdego wyrazu angielskiego według metody fonetycznej, z dołączeniem niektórych uwag, rad i wskazówek. Wydanie 2. W oprawie rb. 1.20. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

P. Zofii. Na wzmocnienie włosów i powstrzymanie wypadania okazał się bardzo skutecznym płyn *Captoline Dufoura*. Łupież zaś z głowy zmywa radykalnie *Mydło alkaliczne Karpińskiego*, którego pianę po umyciu głowy trzeba spłukać kilkoma wodami.

Pani S. T. Mydło *Gossa* przeciw schudnięciu miejscowemu nie jest szkodliwe, najwyżej zaróżowi skórę. Podbródek pani, jeśli jest uformowany z tłuszczu, mydło *Gossa*, codziennie według przepisu używane, usunie. Żeby jednak zapobiedz powtórному utworzeniu się nowego podbródka, trzeba się zaopatrzyć w przepaskę podbródkową paryską, zwaną *Reducteur*, którą zakłada się na noc. Na porost rzęsów nie radzimy używać żadnych środków, gdyż mogą być niebezpieczne dla oka. Na porost i pociemnienie naturalne brwi *Excelsior*, który barwi włos, nie walając skóry. Barwa jest trwała, nie zmywa się całymi tygodniami.

Pani z Nowogródzkiego. Pryszczki podskórne niech pani na dzień smaruje sokiem cytrynowym. Na noc nacierać całą twarz *Abaridem*, ale oszczędnie, żeby się twarz nie lepiała, i zapudrować pudrem *Abarid* bezkolorowym. Rano myć twarz mydłem *Neutralnem*.

Pani W. K. Pierwszym warunkiem pozbycia się węgry jest parowanie twarzy 2 razy na tydzień specjalnym aparatem, codziennie przytem zmywać twarz *Pureolem*.

Złośnicy. Krem *Dra Orgley* usuwa piegi radykalnie, trzeba trochę cierpliwości, jeśli czas pozwoli, smarować parę razy na dzień.

Do wszystkich. Wszystkie polecane przez nas środki dostarczają perfumerye *Perfection Szpitalna 10* i *Paszkowski Marszałkowska 109*.

Wdowce. Krem *Psyche*, o który pani zapytuje, działa bardzo dobrze na skórę, udelikatnia i wybiela.

Mercédès.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**

KRAKOW TELEFON 671

Specjalna SZKOŁA przygotowawcza

Karola Schulza w Warszawie, ul. Św. Barbary № 10.
Telefon Nr. 36-04.

Przyjmuje chłopców nie umiejących czytać i z początkami, jak również zaniedbanych w naukach i przysposabia ich do 3-ciej klasy wszystkich średnich zakładów naukowych. Główny nacisk szkoła kładzie na wyrobienie samodzielności w dzieciach i rozwój umysłowy. W szkole jest stosowany system angielsko-szwajcarski, który wyklucza wszelkiego rodzaju korepetycje w domu. Szkoła posiada najbogatsze muzeum szkolne, zawierające przeszło 10,000 okazów, 1500 obrazów i t. d., które zwiedzać mogą wszyscy, interesujący się wychowaniem młodzieży.

ZAKŁAD PREBLOWSKI, znacznie rozszerzony w nowym lokalu, przyjmuje chłopców i dziewczynki od lat 3-8.

Lekcje rozpoczyna się 2 września.

KARPINSKIEGO
KREM OGORKOWY MATOWY

Cena 60 kop.

Laboratorium Chemiczno-Farmaceutyczne

Fr. Karpińskiego

w Warszawie Elektryczna 35. Telefon 600

Żądać wszędzie.



Najlepsza Pasta do Obuwia
H. Trembińskiego

„INTRYGANT”

żądać
wszędzie

L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

piękne artystyczne teczki

do albumu „DUCH-REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza

po rub. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rub. 2.

WITRAŻE (Glaciers) do okien: metr od 35 kop., oraz KALKOMANIE naśladowujące stoję i kolory wszelkiego drzewa i marmuru (metr 30 k.). Rezultaty zadziwiające. Oszczędność wielka. Prospektury próby bezpłatne. MAGAZYN FRANCUZKI (BERGA 8).

Od Administracji.

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę premium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., album

„Duch-Rewolucjonista” Antoniego Kamińskiego

Cena albumu broszurowanego Kor. 5.— (rb. 2)

" " w ozdobnej oprawie " 10.— (rb. 4)

Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się " 1.— (kop. 60).

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZJI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe, zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozd. opr. rb. 2

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Agentura nasza w Łodzi

„PROMIEN”

ulica Piotrkowska № 81

Telefon 1200

Przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia
na rok 1909.

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie

poleca

MONSALWAT

Rzecz o Adamie Mickiewiczu

— Artura Górskiego —

Wydanie drugie rb. 1.50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

Z LABORATORYUM L. LALEUF

w ORLEANIE (FRANCYA).

Iodyrina Dr. Deschamp

(Iodhyrine du Dr. Deschamp)

Ogólnie uznany środek przeciw

Otyłości

zalecany przez lekarzy z doskonałym skutkiem.

Jodyrina Dr. Deschamp

USUWA OTYŁOŚĆ stopniowo w bardzo krótkim czasie. Niema ubocznego szkodliwego działania.

Cena pudełka (60 pastyl.) Rb. 4.25 k.

Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

Owsianą kaszę zdrowia, Owsianą mączkę zdrowia
 Owsiane kakao zdrowia, Kawę słodową zdrowia
 Dozwolone przez Warsz. Urz. Lekarski za Nr 6230.
 Zdroj i sos i

Przedstawiciel na Warszawę i gubernię.
 Paweł Haida, Nlecała 14 (tamże skład)
 Żądać wszędzie.
 dawniej
 Sternicki i Branicki

owianych produktów od-
 żywczycch i kawy słodowej